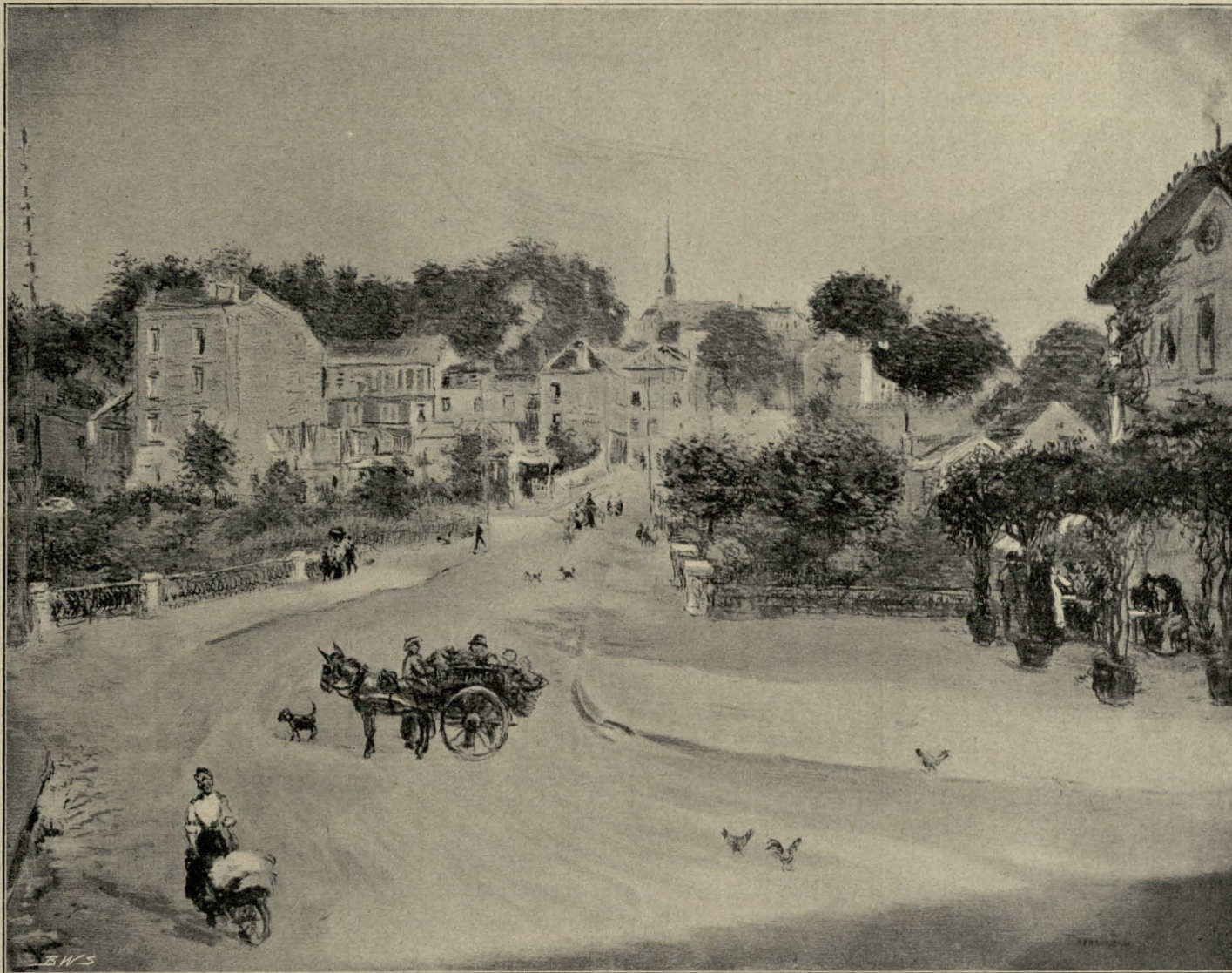


TYGODNIK ILLUSTROWANY



VAL FLEURI
Z Salonu T. Z. S. P. w Warszawie

J. F. RAFFAELLI

A. SZELAŃGOWSKI:

ZAGADNIENIE CZYNU.

„Kształcić ludzi na tęgich ludzi, przepojonych żądzą czynu i twórczości, można tylko wówczas, jeżeli żywe typy podobnych ludzi pokazuje mu przeszłość, jeżeli na czoło historyka wysuniemy czyn”. Tak formułuje zagadnienie historii świeżo wydana książka profesora historii polskiej uniwersytetu lwowskiego, p. Stanisława Zakrzewskiego¹⁾.

I temu założeniu swojemu autor pozostaje zawsze wierny, czy tam, gdzie stara się węzłami kultury historycznej spoić teraźniejszość z przeszłością, czy też tam, gdzie na fundamencie wiedzy historycznej buduje zarys odrodzenia narodowego. Książka prof. Za-

krzewskiego, powiedzielibyśmy, przez to posiada doniosłe znaczenie pedagogiczne.

Przyjrzyjmy się teraz jej poszczególnym rozdziałom. Pierwszy szkic p. t. „Kultura historyczna” dzieli się na dwie części. Jedna jest poświęcona intuicji historycznej, druga zaś wiedzy historycznej. Pierwsze określenie brzmi napozór spekulatywnie. Autor sam się zastrzega, iż zasłużył sobie na zarzut metafizyki. Zarzut ten jednak jest całkiem niesłuszny, gdyż pod intuicją profesor Zakrzewski wprowadzania do historii nie ma na myśli nic innego, jak oddziaływanie bezpośrednie i nieświadome przeszłości za pośrednictwem kultury na każdą jednostkę. Trzeba się nareszcie raz zgodzić z tem, że, podobnie jak dziedziczą się cechy fizyczne, tak samo przechodzą w spadku

z pokolenia na pokolenie i cechy duchowe. I nie trzeba nawet mówić i uczyć każdego, co to jest być Polakiem, ponieważ on tę polskość ma w sobie—wchłonał ją w siebie razem z powietrzem, językiem, atmosferą domową i towarzyską. Tak więc poniekąd sama teraźniejszość jeśli nie uczy historii, to wpaja instynkty historyczne. Dlatego słusznie jest, jeżeli mowa o pierwszym nauczaniu historii, widzieć w niem raczej budzenie i rozwój pierwszych instynktów, aniżeli wpajanie świadomych i wyrozumowanych prawd.

Jest to bez wątpienia zasługą prof. Zakrzewskiego, że zwraca uwagę w kształceniu historycznym na te pierwsze instynkty i wskazuje, jak je rozwijać — czy to przy pomocy instynktu rodzinnego, nawet rodowego, czy też przez budzenie przywiązania do miejsc

¹⁾ Zagadnienia historyczne. Wiedza i życie. Wydanie Związku naukowo-literackiego we Lwowie. Serya IV, tom I, 1908.

i pamiątek ojczystych. Sądzę nawet, że ten drugi sposób jest o wiele łatwiejszy w dzisiejszych czasach, gdyż budowanie świadomości narodowej na instynkcie rodowym, jak u Japończyków, nie godzi się z naszą kulturą i organizacją społeczną, niewspółmierną z formami bytu i cywilizacją ludów wschodnich.

Ten sam cel dydaktyczny przyświeca autorowi i w rozważaniu drugiego zagadnienia — samej wiedzy historycznej. Uczynić z niej służbę dla dobra publicznego, wyzwolić przy jej pomocy energię ludzką, tę samą energię, która jest właśnie przedmiotem badań historycznych, wreszcie natchnąć optymizmem, tym zdrowym optymizmem, który wierzy w postęp życia, w doskonalenie się moralne, fizyczne, umysłowe, a co za tem idzie, i materialne — oto hasła, jakimi, zdaniem autora, powinien się kierować historyk. Intencja pedagogiczna jest zapewne zdrowa i w całości się na nią piszemy — byle nie zanadto były jej podporządkowane zagadnienia teoretyczne. Zresztą spór o to, czy historia jest mistrzynią życia, dawno już przebrzmiał w naszej literaturze. Prof. Zakrzewski wysuwa natomiast nowe zagadnienie — stosunku historii politycznej do historii cywilizacji i nie chce, aby interes dla drugiej zbyt wyparł zainteresowanie się stroną polityczną i państwową historii. Zwłaszcza w naszych warunkach życia upośledzanie historii politycznej wydaje mu się co najmniej śmiesznym wobec stanowczych dążeń społeczeństwa w kierunku odrodzenia politycznego. Zgadzać się w zupełności na rolę doniosłą historii w wykształceniu politycznym młodego pokolenia, nie można jeszcze uważać tej siły historycznej za bezwzględnie twórczą: bywa ona niekiedy także szkodliwą, czasem przeszkodą nawet w wyłanianiu się form i pierwiastków nowych, co stwierdza choćby stanowisko naszego wielkiego historyka, jakim był Długosz, do budzącego się reprezentacyjnego ruchu politycznego w nowszej naszej historii. A i różnica talentów poznawczych i czynnych także musi być brana w rachubę. Za przykład może służyć Leleweł, który był niezawodnie największym historykiem ubiegłego stulecia, choć politykiem wcale niefortunnym.

Podobnie jak ambicyja zawodowa nie pozwala przeceniać doniosłości wykształcenia historycznego w zawodzie praktycznym, na przykład w polityce, tak znów zakresu badania historycznego nie należy zacieśniać jedynie do pojęcia historii państwa. Z tem jednym zatem nie mogę się zgodzić, iż historia rodzi się tam, gdzie się rodzi państwo (str. 88), albo iż historia jest potężniejszym łącznikiem między ludźmi, niżli inne środki porozumiewawcze, niż religie na przykład (str. 14), a poczęści także, aniżeli naród. Jakież to byłby optymizm, gdybyśmy życie historyczne ogniskowali w pojęciu jedynie państwa? Czy wystarczyłoby dla ucznia, który zwykle myśli nauczyciela potęguje przez rezonans swej młodej i świeżej natury do olbrzymich rozmiarów, gdybyśmy za pociechę dali mu zamiast historii porozbiorowej jej surogat tylko w postaci fragmentów życia politycznego (Księstwo Warszawskie, czy Królestwo kongresowe), a choćby dążenia do nie-

podległości. Czy nie więcej przemawiałby doń pomimo upadku politycznego rozrost potężny wszystkich gałęzi przemysłu narodowego, o jakim nie marzyła ani historia, ani myśl polityczna nasza porozbiorowa?

Ale to jest znowu zagadnienie mniej badawczo naukowe, jak raczej praktyczno-pedagogiczne. Cały też szkic prof. Zakrzewskiego, wyżej omawiany, jest pod tym względem najszcześniejszym i najtrafniejszym zagajeniem dyskusji nad pedagogiką naszą historyczną. Winien on być w rękach każdego nauczyciela i każdej nauczycielki, którzy prócz podawania faktów suchych powinni w swoich wychowanków wpajać zamiłowanie do kultury, do życia naszego narodowego, a nadewszystko uczyć nie encyklopedycznie nagromadzoną wiedzą, ale kształceniem woli, charakteru i rozbudzaniem samodzielnego myślenia.

Następny szkic w książce prof. Zakrzewskiego nosi tytuł „Zachód i Wschód w historii Polski”. Obydwa pojęcia są geograficzne i zarazem kulturalne. Nikt bardziej przeto od prof. Zakrzewskiego nie uwzględni doniosłości studyów nad geografją historyczną i nad stroną wewnętrzną kulturalną w badaniach historycznych. Cały też pogląd sz. autora na rozwój nasz wewnętrzny polega na równomiernem rozważaniu wpływów Wschodu i Zachodu. Bożek Słowiańszczyzny zachodniej miał cztery twarze, spoglądające na cztery strony świata. Podobnież cała nasza kultura w dwie strony była zwrócona: na wschód i na zachód.

Pogląd ten coraz bardziej zaczyna przenikać do historyków naszych nie tylko politycznych, ale i historyków kultury, wbrew przyjętemu i ustalonemu dotychczas zapatrywaniu, że, „gdzie ustaje łacina, tam kończy się i cywilizacja”. Samo się przez się rozumie, że problemat wschodu w dziejach Polski jest to problemat Rusi, ale nie zawsze i nie wszędzie. Są wpływy i bardziej oddalone, nawet z głębi Azji idące, już nie mówiąc o koczowskich tatarskich lub wybrzeżach anatolijskich. Ubior, zwyczaj, sztuka, nawet język — oto materiały, które nam kiedyś tę kwestyę bli-

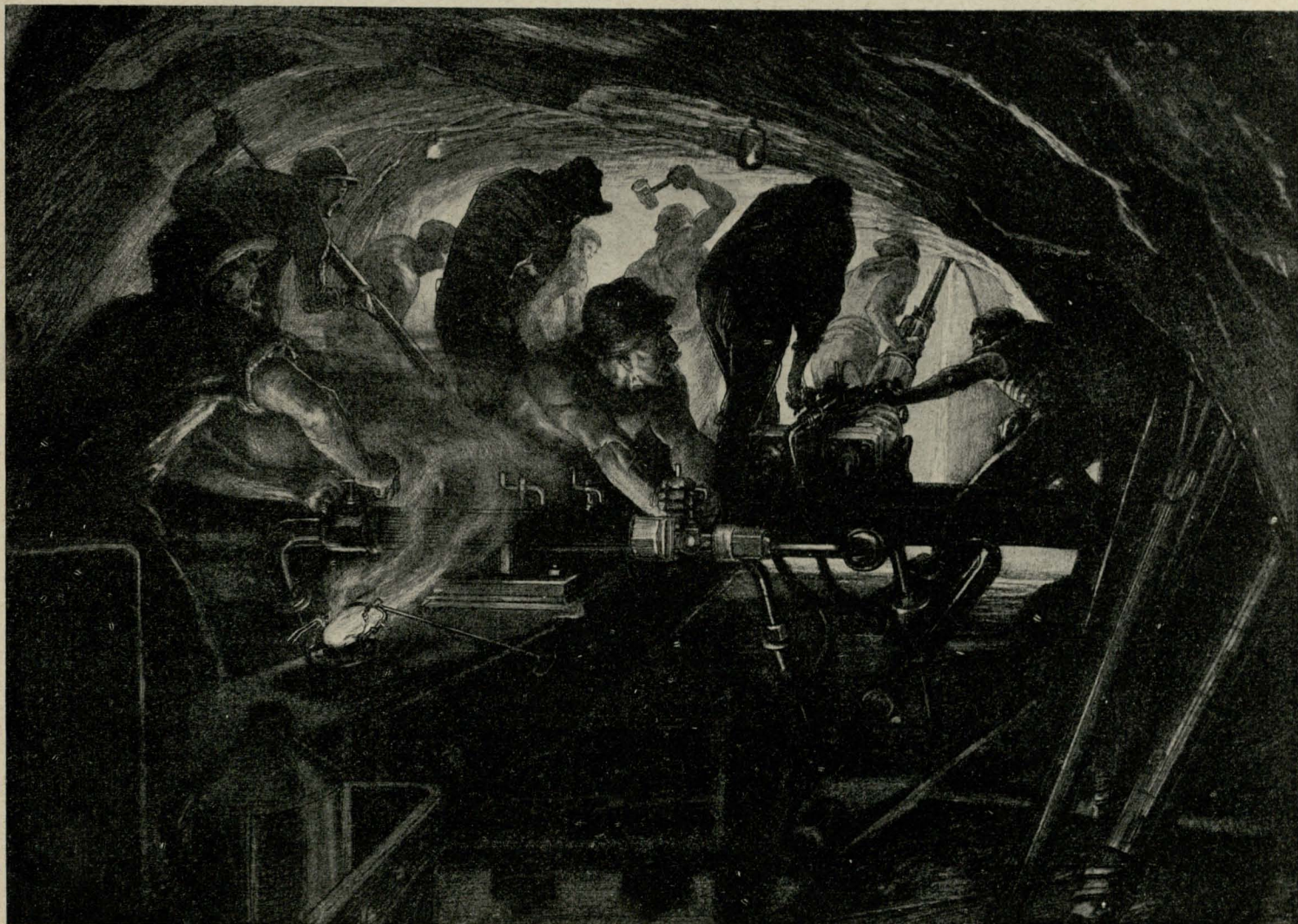


żej rozjaśni i wyświetli. Godząc się z autorem na doniosłą rolę Żydów w Polsce piastowskiej, a nawet w czasach przedhistorycznych, nie wiemy tylko, czy słusznem jest zapatrywanie, jakoby protoplastami wielkich mas żydowskich, zaludniających dziś kraje Rzeczypospolitej polskiej, byli Chazarowie nadwołscy (str. 346). Ci Chazarowie, według pisarzy arabskich, są plemieniem turkским, wśród którego mieszkają Żydzi i Muzułmanie. Sam fakt zaś przejścia chakana chazarskiego na judaizm jeszcze nie świadczy o zjudaizowaniu całej masy ludności. Dość jest zresztą przyjąć pod uwagę prześladowanie Żydów naprzód w Bizancjum, później w Persyi, aby dotarcie Żydów do nas ze Wschodu stało się całkiem zrozumiałem, zwłaszcza, że jako kupcy byli znani wszędzie zarówno w Europie zachodniej, jak i na Wschodzie. Wszakże misjonarze chrześcijańscy odkryli w XVII w. kolonie żydowskie w Chinach, a obecność nawróconych krajowców na judaizm w Indyach (Cochin), czyli t. zw. Tamilów, dała powód nawet do wersyi o istnieniu Żydów czarnych obok przedstawicieli typu kaukaskiego — Żydów białych.

Najważniejsze i najciekawsze w tym zbiorze „Zagadnień historycznych” są studia prof. Zakrzewskiego nad okresem piastowskim. Jest ich dwa: jeden zatytułowany „Epoka piastowska”, drugi — „Polityka społeczna Piastów”.

Jest to słusznem poniekąd utyskiwaniem szerszego ogółu, iż studia poważne naukowe nad średniowieczem są dla niego niedostępne. Trzeba mieć do nich znajomość nauk pomocniczych historii. Prof. Zakrzewski, jako jeden z najgłębszych znawców naszej dyplomatyki średniowiecznej, wyćwiczony w szkole prof. Krzyżanowskiego, wniósł do nauki niejeden pogląd nowy, który obalił dotychczasowe zapatrywania na dzieje Polski piastowskiej. Znany i ceniony w kołach specjalistów, dzieli się swemi zdobyczami w studiach poważnych, lecz pisanych popularnie i dla szerokiej publiczności. Organizacja grodowa, rola kolonizacji i immunitetów, powstawanie mocnej władzy książęcej — oto zagadnienia, na których polu prof. Zakrzewski dawne poglądy do gruntu burzy i stawia na całkiem nowych podstawach. A trzeba powiedzieć, że te dawne poglądy grupują się przeważnie około szkoły niemieckiej Roepella, Waitza i jego uczniów, nawet Polaków, którzy się jednak z pod wpływu nauki niemieckiej i widnokręgów myślenia zachodniego, obracającego się w zakresie cesarstwa rzymskiego, narodu niemieckiego wyzwolić nie mogli.

Ten postęp naszej mediewistyki, czyli nauki o średniowieczu, nie tylko ze stanowiska jednego zagadnienia, ale i całej naszej nauki historycznej jest niezmiernie doniosły — a streszcza się on w tym samym wyniku, który jest osią historyzoficznych zapatrywań autora, że pierwsze dzieje Polski pięćsetletnie noszą znamię wybitnej inicjatywy panujących z rodu Piastów, że oni są pierwszymi nauczycielami społeczeństwa na polu najrozmaitszych stron kultury, tak samo jak oni ze społeczności plemiennej uczynili społeczeństwo państwem.



WIERCENIE TUNELU
Z wystawy jubileuszowej w Wiedniu

Akwaforta L. MICHALKA

ZYGMUNT SACHNOWSKI:

NIEZNANE PAMIĘTNIKI.

2)

Oto—powierzchowne zaledwie—streszczenie tomu pierwszego pamiętników. Przyszły król jest jeszcze istotą nie wyrobioną życiowo, pyszną, lecz stojącą o wiele wyżej ponad poziom kulturalny i moralny ówczesnego społeczeństwa polskiego. Jest to materiał na wielkiego człowieka, lub... nędznika, zależnie od wpływów i okoliczności.

Za to w tomie drugim pamiętników, z czasów pobytu przy dworze cesarzowej Elżbiety Piotrówny, stolnik litewski staje przed nami, zdecydowanie już, w świetle niekorzystnym. Widzimy go, jako rozegzaltowaną, nędzną lalkę, pogrążoną w intrygach dworu, trawiającą czas na uwielbieniu tej, której, jak sam pisze, „oddał całe życie swoje“ i która „stała się kierowniczką losu“ jego. W tomie tym opisuje Stanisław August stosunek swój do Williama, obyczaj, intrygi i politykę dworu petersburskiego. Poniżej zamieszczamy wyjątki z przygód osobistych Stanisława Augusta.

* * *

„Dusza i uczucia moje przepelnione były przywiązaniem, troską i szacunkiem, dochodzącymi do ubóstwiania. Williams był moim powiernikiem, doradcą moim i pośrednikiem. Jemu, jako ambasadorowi, łatwo było uzyskać wstęp do osoby, do której ja jawnie zbliżyć się nie mogłem. Przez niego udzielano mi mnóstwa wiadomości; z tego też powodu dom jego, w którym i ja mieszkałem, stanowił dla mnie niezawodne schronienie, jakiego nie znalazłbym gdzieindziej. Williamsowi przypadł udział wyjawienia Bestużewowi, który był wtedy wielkim kanclerzem państwa rosyjskiego, tej

tajemnicy. Sześć z górą miesięcy prześlizgiwała się ona, mimo jego przenikliwość, szpiegów jego, a nawet—mimo żywe pragnienie, które go nurtowało: rządzenia sympatjami Wielkiej księżny, uwielbianej do tego stopnia, że on sam był w niej zakochany. Bestużew próbował stale podsuwać jej kochanków, według swego wyboru; w tym celu zwrócił on uwagę na pewnego hrabiego, Lendorfa, którego przedstawiono na dworze jednego dnia ze mną, a którego usłudni dworacy wychwalali tego wieczora, umyślnie, przed Wielką Księżną. Odpowiedziała, że z dwóch—Polak bardziej jej się podoba.

„Zdanie, rzucone przez nią bez żadnej myśli, uchwycił L. A. Naryszkin, pokojowiec Wielkiej księżny, który, nawiązawszy wkrótce znajomość ze mną i usiłując zyskać zaufanie, powtórzył mi jej słowa, a następnie opowiadał wszystko, co mogło natchnąć mnie nadzieją. Długi czas unikałem jego słów kuszących: jestestwo moje było tak uprzedzone do intryg i szpiegostwa dworzan wogóle, a w szczególności tak obawiałem się nieszczęścia, grożącego mi na obecnym dworze!... Przeraziły mnie groźne opowieści z czasów panowania Anny Joanówny, na której imienia wspomnienie Rosyanie się wzdygali. Wiedziałem, że mam poprzednika w osobie Sałykowa, którego cesarzowa Elżbieta usunęła od dworu, pod pozorem misji do Hamburga, lecz nie wiedziałem, że Wielka księżna miała powody być z niego niezadowoloną (wygłaszał takie rzeczy, o których powinien był milczeć).

„Zresztą Wielką księżną wyobrażałem sobie, pochłoniętą przez ambicję. Myślałem, że jest ona bezwzględna stronniczką Prus, gdy mnie wychowywano w krańcowej nienawiści do wszystkiego, co pruskie. Jednym słowem, Wielką księżną przedstawiałem sobie do tego stopnia inną, niż była w rzeczywistości, że nie tylko przez ostrożność, lecz w skutek braku chęci unikałem starannie, w ciągu trzech miesięcy, wszystkiego, co, z opowiadań Naryszkina, uważać mogłem za pułapkę.

„Naryszkin postępował tak, jak dworzanin, zgadujący myśli, których mu nie powierzono, lecz pełen nadziei zasłużenia kiedykolwiek na dobrotliwą łaskę Wielkiej księżny, przy której był boku. Wciągał ją, mimo jej woli, jakby to określić—w przepaść. Mnie nagadał tak wiele, że zdecydowałem się na postawienie kilku kroków, osobiście zaś, gdy, w skutek zdania, ogłoszonego przeze mnie o jednej z dam dworu, Wielka księżna, przechodząc kiedyś, zwróciła się do mnie z uśmiechem i powtórzyła prawie te same słowa, z którymi się wygadałem przed Naryszkinem, dodając:

„— Pan, jak uważam, jest malarzem.

„Niedługo potem ośmieliłem się posłać zapiskę, na którą Naryszkin przyniósł mi dnia następnego odpowiedź. Zapomniałem wtedy o istnieniu Sybiru.

* * *

„Po upływie kilku dni Naryszkin zaprowadził mnie do niej. Uprowadził ją dopiero wtedy, gdy już stałem pod drzwiami gabinetu, o takiej

porze wieczornej i w takim miejscu, gdzie należało obawiać się przejścia W. księcia w ćwierć godziny później. Tym sposobem W. księżnie nie pozostawało nic innego, jak wpuścić mnie do siebie, gdyż inaczej naraziłaby swoją osobę i mnie na wielkie niebezpieczeństwo.

* * *

„Miała lat dwadzieścia pięć. Prawie że tylko co wstała po pierwszej słabości; teraz dosięgła tego rozwoju urody, która w każdej kobiecie, jeżeli sądzono jej być piękną, zjawia się zwykle w najwyższym stopniu. Włosy jej były czarne, wobec oślepiającej bieli skóry i żywego rumieńca; wielkie oczy niebieskie—bardzo wyraziste; rzęsy czarne i bardzo długie, nos grecki; usta, zdawało się, prosiły o pocałunek; ręce i ramiona wymarzone, figura gibka, wysoka; chód nadzwyczaj elastyczny, lecz jednocześnie pełen pańskiej szlachetności; dźwięk głosu miły, a śmiech taki wesoły, jak nastrój jej duszy.

„Umiała bardzo wiele. Uprzejma, umiejąca uchwycić słabą stronę każdego, zyskując miłość narodu, torowała sobie drogę do tronu, który zajęła następnie z taką sławą.

*

„Taką była ta kobieta, którą pokochałem i która stała się kierowniczką losu mego; całe życie jej oddałem, o wiele serdeczniej, niż mówią o tem ci, którzy znajdują się w podobnym położeniu.

„Dziwny zbieg okoliczności złożył, że mogłem ofiarować jej, chociaż miałem już dwadzieścia dwa lata, to, z czego nikt jeszcze nie korzystał *Ce que personne n'avait eu* (zamiast tych słów, wtłoczonych między wiersze, ręką Stanisława Augusta skreślone są wyrazy: *des prémices, que je n'avais point perdues ni à Paris, ni à Londres*).

„Nie mogę odmówić sobie przyjemności opisanego w tem miejscu kostiumu, w którym zastałem ją tego dnia. Było to ubranie skromne z białego atlasu; delikatne, koronkowe, z różowymi wstęgami obramowanie było jedyną ozdobą sukni. Ona, żeby powiedzieć, nie zdawała sobie sprawy, jak się to stało, żem ocknął się w jej gabinecie. Rzeczywiście, ja zapytywałem potem nieraz sam siebie, zwłaszcza, gdy podczas przyjęć dworskich należało defilować obok tak licznych straży i dworzan różnego rodzaju—jak się to składało, że już tyle razy przenikałem, jakby mgłą otoczony, w takie zakątki pałacu, do których nie kusilibym się nawet zajrzeć wobec świadków.

* * *

„Widywałem się z nią często, zresztą już bez pośrednictwa Naryszki. Podjechawszy w powozie lub saniach na pewną odległość od pałacu, wysiadałem i szedłem w stronę dworca, gdzie wchodziłem po tych samych wąziutkich schodach,



ZDJĘCIE Z KRZYŻA. Obraz Rubensa w kościele św. Mikołaja w Kaliszu.

przez które wiódł mnie po raz pierwszy Naryszkin i przy których wartownik (uprzedzony już prawdopodobnie) nie pytał mnie o nic i nie czynił trudności. Niekiedy W. ks. wychodziła w określonych godzinach z pałacu, odziana w strój męski, i siadała do moich sani.¹

„Pewnego razu, gdy w ten sposób oczekiwałem na nią, starszy jakiś oficer zaczął się kręcić dokoła mnie i zadał nawet kilka pytań. Wysoką czapkę nasunąłem głęboko na głowę, cały zaś otuliłem się w wielkie futro. Udałem służącego, oczekującego, w śnie głębokim, na swego pana. Przyznam się, że żar wystąpił na ciało, choć panna wtedy mróz trzaskający. Wreszcie oficer oddalił się; W. księżna wyszła z pałacu.

„Była to noc wypadków: sanie wpadły w drodze na kamień z takim impetem, że wyrzuciły księżnę na kilkanaście kroków od miejsca zderzenia, twarzą do ziemi. Nie dawała znaku życia, myślałem, że zabiła się. Zacząłem ją podnosić. Na szczęście—skończyło się na kilku stłuczeniach. Po powrocie do pałacu okazało się, że pokojówka pozostawiła, przez opieszałość, drzwi pokoju księżny otwarte; wobec tego W. księżna narażona była na wielkie niebezpieczeństwo dopóty, dopóki podwoi nie zamknęła inna pokojówka.

* * *

„Z powodu różnych w tym czasie okoliczności na dworach: warszawskim i petersburskim, po-

byt mój tutaj był coraz bardziej a bardziej drażliwy dla mnie, w skutek czego uznałem za niezbędną, drogą urlopu, wyjechać na czas pewien z Rosji. Mając ten zamiar, zacząłem częściej odwiedzać Oranienbaum, gdzie przebywał wtedy dwór Wielkiego księcia.

W skutek szczęśliwego, dotychczas, przyzwyczajenia przebiegania się i korzystania ze wszystkich odpowiednich sposobności i środków w celu odbywania tego rodzaju podróży, do tego stopnia nie przeczuwałem w nich niebezpieczeństwa, że 6-go lipca zdecydowałem się na wyjazd do Oranienbauma, nie umówiwszy się uprzednio z W. księżną, jak czyniłem to zwykle. Wynająłem, jak zawsze, mały zamknięty powóz, którym kierował woźnica, nie znający mnie. Z tyłu siedział przebrany kurjer, który towarzyszył mi zawsze przedtem. Nocy tej (która w Rosji nie była nocą, *) spotykamy, na nieszczęście, w lesie oranienburskim W. księcia ze swiłą swoją; orszak był w nastroju wesołym. Na pytanie—„Kogo wiecie?“—woźnica mój odpowiedział, że nie wie kogo.

„Dążymy dalej, lecz frejlina Elżbieta Woroncowówna, która jechała z W. księciem, wygłasza przypuszczenia, które wprowadzają go w zły humor do tego stopnia, że, kiedy, po

kilkogodzinnym obcowaniu z W. księżną, wyszedłem z oddalonego skrzydła pałacu, zajmowanego wtedy przez nią, ujrzałem się o kilkanaście kroków dalej otoczonym przez kilku jeźdźców z obnażonymi szablami w rękach. Konni, uchwyciwszy mnie za kołnierzy, zaprowadzili w takim stanie przed W. księcia.

„Poznał mnie i kazał iść za sobą. Wiedziono mnie czas pewien drogą do morza. Myślałem, że nadszedł już mój koniec, tymczasem nad brzegiem skręciliśmy na prawo do innego pawilonu. Tam na określone i otwarte pytanie W. księcia odpowiedziałem przecząco.

— Mów pan prawdę; jeżeli pan wyzna—można wszystko załatwić; jeśli będzie pan przeczył, źle pan przepędzi swój czas.

— Nie mogę—odpowiedziałem—twierdzić, że zrobiłem coś, czego nie czyniłem.

„W. książę wyszedł do pokoju sąsiedniego, gdzie naradzał się prawdopodobnie ze swoją swiłą. Wróciwszy wkrótce do mnie, powiedział:

— Dobrze, ponieważ nie chce pan zeznać, posiedzi pan tutaj do nowego mego rozkazu.

„I pozostawił mnie, ze strażą przy drzwiach, w pokoju, gdzie prócz mnie znajdował się generał jego, Brokdorff.

*) Mowa tu zapewne o t. zw. białych nocach. (Przyp. tłum.).

„Zachowywaliśmy głębokie milczenie przez dwie godziny, po których upływie wszedł hr. Aleksander Szuwałow, mleczny brat protegowanego ces. Elżbiety. Był to wielki inkwizytor, zwierzchnik tego straszego sądu, który nosił w Rosji miano tajnej kancelaryi. Z chwilą jego ukazania się zrozumiałem, że cesarzową zawiadomiono o wszystkim. Mruknął, zmartwiony, kilka słów, z których domyśliłem się prędzej, niż zrozumiałem, że prosił o wyjaśnienie powodu zajścia. Nie wchodząc w szczegóły, rzekłem:

— Rozumie pan, że dla honoru dworu waszego jest konieczne, aby wszystko to zakończyło się z możliwie małym rozgłosem i aby wypuścił mnie pan stąd jak można najprędzej.

— Przyznaję panu rację — mruknął (jąkał się także) — wydam odpowiednie polecenia.

„Wszedł i prędzej, niż w ciągu godziny, wrócił z oznajmieniem, że zajeżdżała karetą, którą mogę powrócić do Petersburga.

„Był to lichy, mały ekwipaż, przybrany ze wszystkich stron zwierciadłami, lub raczej szybami w rodzaju latarni. W takim domniemanem incognito ruszyłem wolno, wśród białego dnia, o g. 6 r., w drogę, ciągniony po głębokim piasku przez dwa konie, w skutek czego czas podróży wydawał mi się niezmiernie długi. Nie dojeżdżając do Peterhofu, rozkazałem zatrzymać się i, po odesłaniu wehikułu, pieszo, w płaszczu i czapce, nasuniętej po uszy, przebyłem pozostałą część drogi.

„Przepędziłem dwa dni w najstraszniejszym przygnębieniu. Zauważyłem dobrze z zachowania,

że przygoda moja stała się głośną, choć nikt nie mówił ze mną o tem.

„Wreszcie W. księżna znalazła sposobność przesłania mi karteczki, z której rozumiałem, że zdołała zapewnić sobie przychylność hr. Elżbiety Woroncowówny.

„Po dwóch dniach W. książę z żoną i całym dworem zjechał do Peterhofu, aby przepędzić tam święta. Na dworze odbył się dnia tego bal. Tańcząc menueta z Elżbietą Woroncowówną, powiedziałem jej:

— Mogłaby pani uszczęśliwić niektóre osoby.

— Jest to już prawie załatwione — odpowiedziała. — Przyjdź pan o g. 1 w nocy, razem z Naryszkinem, do ogrodu Niższego, do pawilonu „Mon-plaisir”, gdzie mieszkają ich wysokości.

„Uściskawszy jej rękę, poszedłem naradzić się z Lwem Naryszkinem. Powiedział mi:

— Przyjdź pan, znajdziesz mnie u W. księcia.

„Chwila namysłu, wreszcie zwróciłem się do Branickiego:

— Czy zgadza się pan poświęcić mi tę noc na przechadzkę po ogrodzie Niższym? Bóg wie, gdzie nas spacer zaprowadzi, lecz prawdopodobnie zakończy się pomyślnie.

„Zgodził się bez wahania, i o umówionej godzinie przychodzimy na wiadome miejsce. O dwadzieścia kroków od sali przyjęć spotkałem Elżbietę Woroncowównę, która mówi:

„— Trzeba poczekać tutaj jeszcze parę chwil,

gdyż u Wielkiego księcia bawią dotychczas goście, którzy palą z nim fajkę, a których chce się on naprzód pozbyć, aby potem zobaczyć się z panem.

„Kilkakrotnie chodziła podłuchiwać, czy nie nadszedł moment, którego oczekiwaliśmy. Wreszcie odezwała się:

„— Niech pan wejdzie.

„I Wielki książę, podchodząc do mnie, mówi weselo:

— Czy nie oznacza to więcej, niż lekko-myślność, że nie zawierzył mi pan w swoim czasie tajemnicy? Gdyby pan to uczynił, nie nastąpiłoby to całe zajście.

„Przyznałem się do wszystkiego i w tejże chwili zacząłem wychwalać sprawność rozporządzeń wojskowych Jego Wysokości, przed którymi nie mogłem się nigdzie ukryć. Pochlebilo mu to bardzo i wprowadziło w dobry humor.

„Następnego dnia wszyscy zaczęli patrzeć na mnie przyjaźnie. Szuwałow prawil mi grzeczności, Woroncow robił to samo. Jednakże mogłem zauważyć, że wszystko to było niezbyt szczere. Nadeszła chwila odjazdu. Miałem już pozwolenie, wydane zawczasu, i wreszcie... trzeba było porzucić Petersburg“...

Dalsze tomy pamiętników zawierają materiały historyczny, nie nadający się do streszczenia. Historyk znajdzie tam, niewątpliwie, obfitość szczegółów, oświetlających nie zbadane dotychczas fakty z najboleśniejszej dla Polaka epoki — panowania Stanisława Augusta.

BOLESŁAW PRUS:

DZIECI

POWIEŚĆ.

36)

OPATOWSKI (machając ręką). Jaką my tam siłę mamy!...

PRAKTYKANT. Odwagę i poświęcenie proletaryatu.

ŚWIRSKI. Ma pan słuszność. Ale ta odwaga jest bezładna, nie uporządkowana, a poświęca się niewiele jednostek. Gdybyśmy zaś utworzyli armię, choćby stutysięczną...

PRAKTYKANT. Czy dla obrony burżujowskich interesów, a dla zduszenia ludu?...

ŚWIRSKI (z zapałem). O—to—właśnie jest naszym nieszczęściem!... Dzielimy się na proletaryat i burżujów w chwili, kiedy powinniśmy zjednoczyć się jak najsilniej... Jedno ciało i jedna dusza...

SEKRETARZ. My tego zjednoczenia nie doczekamy.

PRAKTYKANT. Nawet nie rozumiem, jaki pożytek rewolucji mogliby oddać burżuje?...

ŚWIRSKI. Choćby swoimi pieniędzmi. Na utrzymanie, na przykład, stutysięcznego wojska trzeba z pięćdziesiąt milionów rubli rocznie. Niech więc proletaryat dostarczy nieustraszonych żołnierzy, kapitałisci pieniędzy, a wówczas Polska, obok Rosyi, stanie jako sprzymierzeniec...

PRAKTYKANT. Przymierze jest i dzisiaj: proletaryat rosyjski i polski zjednoczył się przeciw polskim i rosyjskim wyzyskiwaczom...

ŚWIRSKI. Burżujom nic nie zrobią, ale mogą zabić naszą narodową indywidualność...

PRAKTYKANT. Narodowość głupstwo, kolektywizm grunt...

SEKRETARZ. O, widzi pan! Ażeby zaś jak najprędzej dojść do owego kolektywizmu, przygotowuje się strajki w fabrykach...

P. KLEMENS. I na folwarkach...

SEKRETARZ. Stawia się zarządom fabryk niemożliwe do przyjęcia warunki, a tym, którzy odmawiają, przysyła się wyroki śmierci...

OPATOWSKI. Więc już i na folwarkach urządzają strajki?... Nie wiedziałem.

P. KLEMENS. W Łubniach parobcy żądali podwyższenia pensyi i ordynaryi, a ponieważ administrator zgodzić się na to nie mógł, więc zaprzestali karmić i poić bydło... Przejeżdżający szosą o wiorstę drogi słyszeli ryki...

OPATOWSKI. O łajdaki!...

PRAKTYKANT. Głodnych parobków nikt nie słyszy... Nie umieli dotychczas ryć głośno.

ŚWIRSKI. Gdyby taki nastrój panował w całym kraju, rewolucja nie przynieś nam żadnego zysku.

SEKRETARZ. Dziękujemy Bogu, jeżeli nie wywoła wojny domowej!

LINOWSKA. Duchowieństwo powinno by wystąpić i załagodzić te stosunki.

WIKARY. Duchowieństwo?... Czy to, które zaniedbuje kapłańskie obowiązki? Czy to, które, zamiast z ambony oświecać ludzi,

straszy ich piekłem?... Czy może to duchowieństwo, które poluje, gra w karty i przy każdej sposobności łupi ze skóry swoje barany?...

PRAKTYKANT (z szyderczym uśmiechem). Brawo!... Księża są tacy sami burżuje, jak przemysłowcy i szlachta.

LINOWSKA. Jadziu, poproś państwa do mego pokoju i zagraj co...

Gdy goście ruszyli od stołu, pan Klemens nagle stanął przed Świrskim i rzekł:

— Wie pan, nie myślałem... bardzo zdziwiłem się tem, co pan mówił... Zdawało mi się, że pan trzyma z nimi...

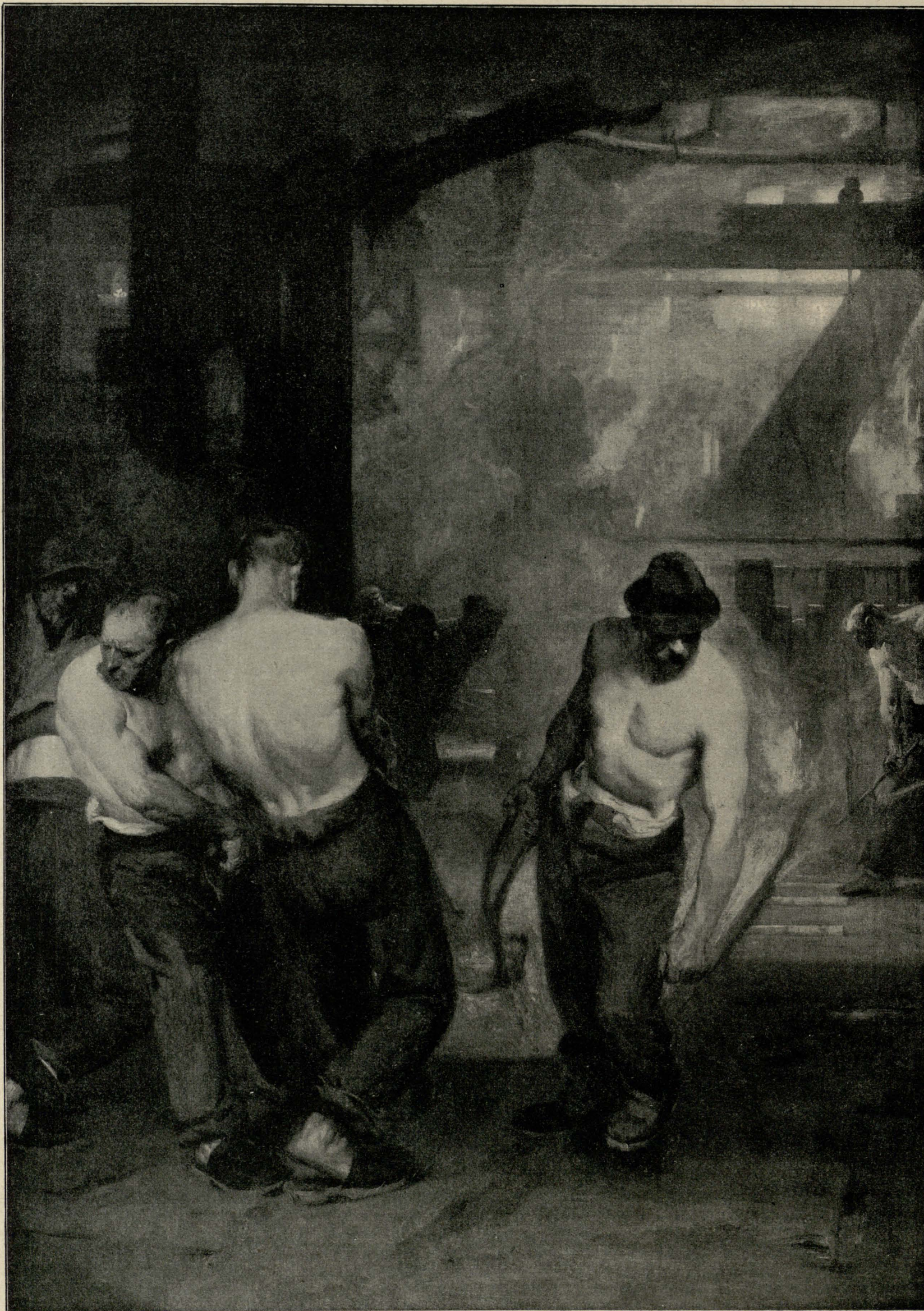
— Niby z tymi, którzy chcą wojny domowej?... — odparł z uśmiechem Świrski.

— Bardzo pana przepraszam — mówił pan Klemens, ściskając go za rękę—i, jeżeli pan pozwoli, przyjadę kiedy na chwilę poufnej rozmowy...

— Jestem do usług — odpowiedział Świrski bez zapału. Myśl o tem, że pan Klemens przez całą kolację siedział obok Jadwigi, robiła mu przykrość. Od pierwszej chwili spotkania Jadwiga niepokoiła go w szczególny sposób: często myślał o niej, gniewały go umizgi Klemensa, cieszyło go, że Władek był dla niej obojętny, lecz niejednokrotnie powtarzał sobie w duszy:

„Przecież nie kocham się w niej... I nigdy nie ożeniłbym się...“

Po wigilii i wyjechaniu gości Świrski długo nie mógł zasnąć; stary miód ognistymi strumieniami rozlewał się po organizmie, za-



WALCOWNIA

ARTUR KAMPF



FORPOCZTY

A. WIERUSZ-KOWALSKI

palając w głowie nowe a przykre obrazy, których punktem środkowym była — twarz panny Jadwigi. Nie jest ona piękna, a jednak!... Jakie ona ma ma bujne włosy, jakie zęby gęste i białe... co za usta... oczy... Nade wszystko zaś—jak ona umie słuchać! Kiedy mówił Kazimierz, panna Jadwiga nie tylko rozumiała, ale odczuwała każde zdanie i zachęcała go, podniecała spojrzemiami. A gdy odezwał się praktykant, twarz jej płonęła, a oczy zdawały się mówić: „Gotowa jestem pójść za tobą!“...

„Ależ to anarchista... wywłaszczyciel“... myślał Kazimierz. Nigdy on nie lubił wojującego socjalizmu, lecz ten praktykant socjalista, milcząco popierany przez pannę Jadwigę, budził w nim gniew i jakby odkrył nowe strony w znanej dotychczas agitacji socjalistycznej.

— On drwi z narodowości, a już wcale nie dba o to, ażebyśmy, wobec Moskali, znaleźli się, jako równi i wolni obok równych i wolnych...—rzekł Świrski i, pomimo irytacji, zasnął.

Sny miał bezładne i niespokojne. Marzył, że kłóci się z kimś, że się mociuje, że biegnie gdzieś na wyścigi... To znowu, że jedzie na rozhukanym koniu, który nagle stał się—wołem i wśród ciemności pędził czy też spadał na złamanie karku... Jazda na rozpędzonym wole, co za pomysły!... Kazimierz obudził się zmęczony, z ciężką głową i nieokreślonymi pretensjami do całego świata. Poprosił służącej, ażeby herbatę przynio-

sła mu do pokoju, wypił kilka szklanek, a potem—przeglądał mapy lasów, należących do Żelaznej Huty, i mapy gubernii. Zatopiony w rysunkach, z przyjemnością wyobrażał sobie gościńce, wsie, ogrody, wzgórza, zarośla... Ale—już nie widział wojsk, odzianych w szaraczkowe uniformy z różnokolorowymi lampasami i epoletami, poprostu—nie miał ochoty wyobrazać ich sobie. Za to od czasu do czasu na tle map ukazywały się rozmazane oczy panny Jadwigi, albo ponura twarz praktykanta, który gardził narodowością i narodem-wojskiem.

Około południa Świrski zeszedł na dół, do pokoju Linowskiego i spotkał tam pannę Jadwigę, która, podniósłszy do góry paluszki, rzekła z miną tajemniczą:

— Mieliśmy wczoraj gościa na wigilii i na noclegu...

— Czy nie jaki socjalista?...

W oczach Jadwigi na chwilę błysnęło zdziwienie, mówiła jednak dalej:

— Kto wie, czy pan nie zgadł?... Późnym wieczorem przyszedł do naszej służby podróżny, niby kaleka, obdarty... i prosił, ażeby, nie mówiąc państwu, przenocowali go... No i czy pan da wiarę, że służba zgodziła się i, gdyby nie Rózia, która mnie bardzo lubi i nic nie ukrywa przede mną, nawet nie wiedzielibyśmy o tem...

— Czy to raz nocuje ktoś u parobków, nie meldując się państwu! — wtrącił Kazimierz.

— Bywa tak, ale niech pan posłucha

dalej...—ciągnęła podnieconym tonem.—Ten niby podróżny namawiał naszych ludzi, ażeby od świąt zażądali zwiększenia pensji i ordynaryi, a zmniejszenia godzin pracy. A także zapewniał ich, że już w przyszłym roku wszystka ziemia szlachecka przejdzie do chłopów...

Świrski wzruszył ramionami.

— Tak mówił, proszę pana, ten podróżny—ciągnęła Jadwiga—a gdy furman odezwał się, że szlachta ziemi darmo nie odda, włóczęga odpowiedział mu: „Niech szlachta prędzej wynosi się zagranicę, gdyż będą ich rznąć i palić“...

— A nie powiedział: czy będą rznąli spalonych, czy też będą palili zarzniętych?—uśmiechnął się Kazimierz.

— Żartuje pan, a przecież te pogrozki pana więcej obchodzą, aniżeli mnie...

— A tak!... Wyobrażam sobie, jakby wyglądał parobek, który—naprzykład—memu stryjowi zaproponowałby oddanie majątku...—odpowiedział Świrski.—Bo nas, tutaj, może otoczy swoją opieką ten... praktykant z Żelaznych Hut...—dodał z ironicznym uśmiechem.

— Ach, jak ja go się wczoraj bałam!...—wtrąciła Jadwiga.

— Zdawało mi się, że pani z największą sympatią słucha jego pogroźek...

— Ja?... Wyborny pan sobie!... Ja sympatyzuję tylko z takimi, którzy pracują dla ludu, którzy go oświecają, ale nie z tymi, którzy go bałamucają niewykonalnymi obietnicami... (DCN)



Parana. Przy pługu w kolonii polskiej.

III.

Kiedy sięgam myślą wstecz i robię przegląd osób, które pomagały mi wedle możliwości w mojej pracy, na jednym z pierwszych planów umieszczam konsula austro-węgierskiego w Kurytybie, p. Zdzisława Okęckiego. Zna doskonale kolonie i stosunki na nich, interesuje się żywo ruchem oświatowym, to też rozmowom z nim zawdzięczam bardzo wiele cennych informacji. A wdzięczność moją—z innej strony—podzielać muszą czytelnicy *Tygodnika*; najlepsze umieszczone tu fotografie pochodzą ze zbiorów pana konsula.

Z p. Okęckim rozpoczynałem seryjnie wycieczki do kolonii, położonych w bezpośrednim pobliżu Kurytyby, od najbogatszej—Thomas Coelho. Świat tu zgoła inny. Nie zobaczycie już smutnie sterczących ku niebu popałowanych pniów; i pień i korzenie zgniły z biegiem czasu, zostały wyjęte, a pole pokarczowane. Dalej—zupełny brak lasu, dający się już nawet we znaki kolonistom. Wszędzie chodzą pługi, sposób gospodarowania „europejski“, a wielkie, uprawione łany przypominająby zupełnie stary kraj, gdyby nie to, że przeważa na nich kukurydza, a nie, jak u nas, żyto i pszenica. Kiedy staniecie na wzgórzu, widzicie nokoło siebie na wzgórzach i dolinach całe lasy kukurydzy.

I dworki i obejścia inne. Nieraz widzieć można ładny dworek murowany, w nim porządne meble lakierowane, obrazy na ścianach. Dużo wozów, sporo narzędzi rolniczych, konie i krowy lepsze. Słowem, kultura ekonomiczna o wiele wyższe, świat europejski prawie.

Przyczyna tego zjawiska—prosta. Kolonie, położone w pobliżu Kurytyby, są starsze. Polityka kolonizacyjna rządu jest stara, a równoległa do niej szła kolonizacja polska. Rzecz naturalna, że rozpoczynano przedewszystkiem kolonizować okolice Kurytyby, a dopiero później promieniowała kolonizacja coraz dalej i dalej od stolicy stanu. Dlatego kolonie pod Kurytybą są najstarsze.

Pomijając jednostki, które emigrowały do Parany przed siedemdziesięciu i sześćdziesięciu laty,



Parana. Cerkiew unicka na Prudentopolis.

można rozróżnić w historii kolonizacji w Paranie cztery główne fale: w latach 1868—1872, kiedy kolonizowano dzisiejsze parafie Candidę, Abranhez i Orleans; Polacy szli wówczas wyłącznie ze Śląska i z Prus Zachodnich od Starogardy i Chojnic; w latach 1880—1882, kiedy kolonizowano dzisiejszą parafię Thomas Coelho, przyjeżdżała tylko emigracja galicyjska z pod Jasła i Gorlic; pamiętny dla nas jest okres gorączki brazylijskiej, lata 1890 i 1891; emigracja idzie tylko z Królestwa; powstają kolonie: Rio Claro, S. Matheus, Lucerna, Antonio Olyntho, Muriey; lata 1896 i 1897: emigracja wyłącznie galicyjska; po raz pierwszy przychodzą w większej liczbie Rusini; powstaje Prudentopolis; Rio Claro i Lucerna zostają rozszerzone. W chwili obecnej ma być wytworzona piąta fala emigracyjna; dla kolonizacji przygotowują się tereny w Miguel Calmon; ale masowej emigracji niema, na rolę idą prawie wyłącznie Rusini z Galicji; od 1 stycznia do 12 maja r. b. przybyło 371 Rusinów rolników z Galicji, a 146 robotników i półinteligentów z Królestwa.

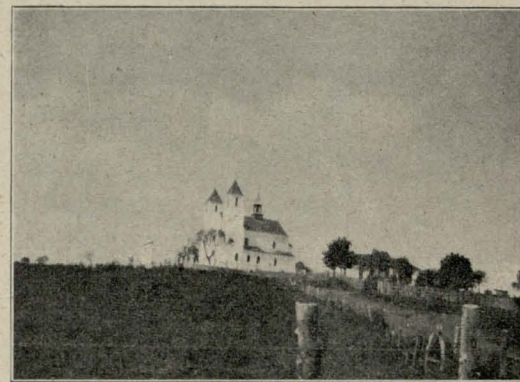
Takie więc kolonie pod Kurytybą są najstarsze, najbogatsze i najbardziej posunięte naprzód pod względem kultury rolnej. Dawność istnienia, pobliże stolicy, lepsza gospodarka są tu czynnikami zamożności.

Mimo dawnego istnienia kolonie te są bardzo polskie; polskość uzewnętrznia się w różnych szczegółach obyczajowych, w uprzęży koni, w kształcie wozów, nawet w tem, że nie brak tu ludzi, nie mówiących zupełnie po portugalsku, czego zresztą żadną miarą pochwalić nie można.

Rzecz jasna, że zaznaczony już poprzednio fakt wykupywania ziemi okolicznej przez kolonistów polskich występuje tu ze wzmożoną siłą. I tak np. cała prawie parafia Araucaria, licząca 1698 km. kw. i na tej przestrzeni około tysiąca rodzin polskich, powstała z naturalnego rozszerzania się parafii Thomas Coelho, przez mnożenie się, wyposażanie dzieci, zakupywanie dla nich gruntów możliwie blisko od rodziców. Tam, gdzie położenie geograficzne kolonii nie pozwala na takie naturalne rozszerzanie obszaru władania polskiego, tam ziemia dochodzi do cen, jak na Parane, wprost bajecznych, a ludność polska, w swej ekspansji, przeskakuje nieraz bezpośrednio pograniczne pasy drogiej ziemi, aby zakupywać grunty coraz dalej i dalej.

Jakkolwiek może się to wydać paradoksem, przecież źródłem bogacenia się jest znaczna ilość dzieci; jedyne prawie nędzne gospodarstwa, jakie widziałem, były to gospodarstwa wdowców z drobnymi dziećmi. Nic w tem dziwnego. Robotnika najemnego niema zupełnie; utrzymanie dzieci nie kosztuje prawie nic, bo wszystkich środków spożywczych dostarczy ziemia; dzieci chowają się dobrze, bo klimat i warunki życia są doskonałe. Więc naturalnym pomocnikiem rodziców w gospodarce będzie dziecko; im więcej będzie tych pomocników, tem więcej można obrobić ziemi, tem bardziej rozszerzać zakres swego posiadania.

To też Polacy mnożą się w Paranie. Widziałem wiele zamożnych rodzin, liczących po



Parana. Kościół na Thomas Coelho.

dwanaścioro i po czternaścioro dzieci, widziałem kilka, w których liczba dzieci dochodziła do 21 i 23; widziałem wreszcie unikat w swoim rodzaju, p. Lipińskiego z Prus, na kolonii Orleans, który z dwiema żonami miał *dwadzieścia dziewięć* dzieci! Tak więc Polacy rozszerzają swój stan posiadania i rozmnażają się. Bezpośrednimi ich sąsiadami są miejscowi rolnicy brazylijscy, t. zw. *kaboklerzy*. *Caboclo* jest to nazwa kategorii etnograficznej, a zarazem ekonomicznej, nazwa mieszańca Indyanina z białym (tego rodzaju związki i krzyżowania powstawały oczywiście w lasach, gdzie stykały się bezpośrednio obydwie rasy, podczas gdy po miastach znajdziecie raczej krzyżowania



Parana. Orleans, kościół i dzwonnica.

białych z Murzynami) i nazwa drobnego posiadacza rolnego, Brazylijanina, w przeciwieństwie do wielkiego, zwanego *faundeiro*. Ci *kaboklerzy* niechętnie znoszą bezpośrednie sąsiedztwo białych kolonistów i przed ich naporem cofają się w lasy. A głąb lasów dzierży dotąd Indyanin, bądź to znany dziki Botokud na pograniczu Sta Cathariny i Parany, w sąsiedztwie kolonii Luceny, bądź inny, łagodniejszy, bądź wreszcie jeszcze inny, nieznanymi, w niezbadanej dotąd części Parany.

Liczba Polaków w Paranie wynosi wedle różnych danych 45—50 tysięcy, Rusinów zaś, nie odróżnianych zresztą od Polaków przez władzę rządową, 20—23 tysięcy. Razem wzięci stanowią oni więc około 16% ogółu ludności Parany, a przeważną, olbrzymią większość wśród uprawiających ziemię; hodowla na wielką skalę na stepach znajduje się w ręku Brazylijan; wielki handel—w ręku Niemców; urzędnikami i politykami są wyłącznie Brazylijanie, wreszcie pewną rolę ekonomiczną w rolnictwie odgrywają Włosi, jako ogrodnicy zwłaszcza i fabrykanci wina.



Parana. Wesele chłopskie na Thomas Coelho.



Szkoła przy kościele w Lucenie.

Fot. ks. Dejewski.

W stosunku do swego pierwszorzędного znaczenia ekonomicznego i do siły liczebnej nie odgrywają Polacy odpowiedniej roli w polityce i zarządzie stanu; nie mają reprezentacji w kongresie, a wśród urzędników jest zaledwie paru Polaków. Przyczyną tego stanowiska drugorzędного jest przede wszystkim brak oświaty, a następnie brak inteligencji, czyli kandydatów na urzędników.

Szkół polskich w Paranie jest w tej chwili czterdzieści jedna. Ale silniejszy, wzmożony ruch oświatowy jest dziełem dopiero kilku lat ostatnich i w znacznej mierze wywołany został niezłomną agitacją znanego działacza parańskiego, p. Kazimierza Warchałowskiego, który bezpośrednio przez założenie Towarzystwa Szkoły Ludowej w Brazylii, a przez nie pięciu szkół, a pośrednio przez nieustanne poruszanie spraw oświatowych w swym piśmie, *Polaku w Brazylii*, znacznie się do popchnięcia naprzód sprawy oświaty przyczynił.

Z tem wszystkim poczucie potrzeby oświaty wśród ludu polskiego w Paranie jest dotąd niezbyt znaczne. Co prawda, przeciwko zakładaniu szkół występują tu utrudnienia naturalne, prawie nieprzezwyciężone: wielkie rozległości kolonii i znaczenie dziecka w rodzinie, jako robotnika, czynniki, o których już ubocznie wspominałem wyżej. Można tylko żywić nadzieję, że z czasem poczucie konieczności posyłania dzieci do szkół będzie tak wielkie, że naturalne te trudności przewyżczy.

Gorsze jest to, że szkoły są przeważnie liche, z powodu braku odpowiednich sił nauczycielskich. Rzecz jasna, że w kraju tak oddalonym od macierzy, w kraju emigracji nieraz wypadkowej, do nauczycielstwa brać się może każdy, kto mniej więcej czytać i pisać umie, a pracować fizycznie nie chce lub nie może; do sprawdzania kwalifikacji niema możliwości, ani nawet chęci. Łatwo bowiem w takich warunkach o postępowanie w myśl zasady: lepsza szkoła licha, niż żadna, lepszy nauczyciel zły, niż żaden. Zasada ta może jednak wzbudzać pewne wątpliwości.

Nie brak jednak i szkół dobrych. Do takich zaliczam szkoły Towarzystwa Szkoły Ludowej oraz szkoły Sióstr, istniejące na kilku koloniach, przy kościołach. W szkołach powyższych istnieje pewien dobór personelu nauczycielskiego, o ile to w danych warunkach jest możliwe; wśród Sióstr są fachowe nauczycielki, a wszystkie posiadają rutynę nauczania.

W szeregu usiłowań oświatowych zapisać tu muszę inicjatywę p. konsula Okęckiego i uchwałę galicyjskiego Wydziału Krajowego, dotyczącą wysyłania z Europy siedmiu fachowych nauczycieli ludowych dla Polaków i czterech dla Rusinów, którzy pobieraliby z funduszy krajowych połowę pensji i zachowaliby prawa służbowe w kraju, chociaż byłiby delegowani na czas pewien do Parany. Przybytek jakiegokolwiek, choćby najmniej-

szej ilości fachowych sił nauczycielskich byłby już dla niej wielkim dobrodziejstwem. To też życzyć należy, aby uchwała powyższa została jak najprędzej w czyn wprowadzona.

Potrzeby religijne Polaków parańskich zaspokaja osiemnastu księży polskich, rozrzuconych po czternastu parafiach, kuratoryach i kapelaniach. W ten sposób mają księży polskich wszystkie większe kolonie nasze; nie brak jednak mniejszych, bardziej rozrzuconych, do których dojeżdżają księża niemieccy lub inni. Kościołów i kaplic jest około dwudziestu, przeważnie skromnych bardzo, w przeciwieństwie do olbrzymich miejskich świątyń w Ameryce Północnej. Rusini mają swoje cerkwie i kaplice na koloniach Rio Claro, Prudentopolis, Antonio, Olyntho i Lucena; obowiązki proboszczów unickich sprawują zakonnicy, Bazylianie, którzy prowadzą bardzo intensywną działalność narodową wśród swych parafian.

Jeżeli dodam, że w Kurytybie wychodzą trzy pisma polskie, *Gazeta Polska*, *Polak* i *Naród*, które odzwierciedlają różne poglądy na sprawę polską w Paranie, że jest księgarnia polska i wypożyczalnia książek p. Kazimierza Warchałowskiego, że istnieją stowarzyszenia polskie w Kurytybie i na koloniach, to cała strona kulturalna życia polskiego w Paranie będzie uwzględniona o tyle, o ile jest to możliwe w krótkiej notatce dziennikarskiej.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

CHŁOPI. LATO.

36)

— A może to już po mnie? — jęknął w twórze.

Wszyscy jakby zmartwieli, ujrawszy na progu strażników.

Antek nie mógł się poruszyć, a jeno latał oczyma po wywartych oknach i drzwiach. Szczęściem, co Hanka całkiem przytomnie zapraszała ich siedzieć, podsuwając ławę.

Grzecznie się przywitali, tak się razem przymawiając o kolację, że musiała im nasmażyć jajecznicy.

— Kajże tak późno? — zapytał wreszcie Antek.

— Po służbie! Dzieło u nas nie małe!

— odrzekł starszy, wodząc oczami po zebranych w izbie.

— Pewnie za złodziejami? — dorzucił Antek śmiejąc, wynosząc flachę z komory.

— I za złodziejami, i za drugim! Przepijcie do nas, gospodarzu!

Napił się z niemi. Przypięli się do jajecznicy, jaże łyżki dzwoniły.

Wszyscy siedzieli cichuśko, kiej te przytrwożone trusie.

Strażnicy wymietli miskę do czysta, przepili jeszcze gorzałką, i starszy, obcierając wąsy, rzekł uroczyście:

— Dawno was wypuścili z turmy, a?

— Niby to pan starszy nie wiedzą! Rozdygotał się ździebko.

— A gdzie to Rocho? — spytał nagle starszy:

— Któren Rocho? — zrozumiał w mig i znacznie się uspokoił.

— Podobno u was żyje kakoj to Rocho?

— A może pan starszy mówią o tym dziadku, co to chodzi po wsi? Prawda, dyć go Rochem wołają!

Strażnik rzucił się niecierpliwie i rzekł groźnie:

— Nie róbcie szutek, przecież mieszka u was, wiadomo!

— Pewnie, co nieraz siedział u nas, ale siedział i u drugich. Proszalny dziadek, to kaj mu popadnie, tam i na noc głowę przytuli. Dziś w chałupie, indziej w obórce, a niekiedy i prosto pod płotem. Cóż to pan starszy upatrzył se na niego?

— Tak cóżby, nic, po znajomości pytam...

— Poczciwy człowiek, wody nikomu nie zamąci — wtrąciła Hanka.

— Nu, my znamy, kto on taki, znamy! — mruknął znacząco, próbując różnymi sposobami wypytywać o niego. Nawet już tabaką częstował, ale wszyscy tak gadali ciągiem jedno w kółko, że, nie mogąc niczego przewąchać, podniósł się z ławy ze złością: — A ja mówię, że mieszka u was, w chałupie!

— Przeciek go w kieszeń nie schowałem! — odburknął Antek.

— Ja tu po służbie, pomagacie, Boryna — cisnął się groźnie starszy, ale jakoś się udobruchał, dostawszy na drogę mendel jajków i sporą oselkę świeżego masła.

Witek poszedł za nimi trop w trop, rozprowadzając potem, jako wstępowali do sołtysa i próbowali zazierać do poniekórych okien, jeszcze oświetlonych, jeno co pieski tak naszczekiwały, że, nie porzedziwszy nikaj zajrzeć kryjomo, z niczem odeszli.

Ale to zdarzenie tak jakoś dziwnie rozebrało Antka, że, skoro jeno został sam na sam z żoną, zaczął się wyznawać z utrapień.

Śluchała z bijącym sercem, uważnie, nie przepuszczając ani jednego słowa, dopiero kiej w końcu zapowiedział, jako im już nic nie pozostaje, jeno przedać wszystko i uciekać we świat, choćby do Hameryki, stanęła przed nim pobladała, kieby ściana.

— Nie pódę i dzieci na zatrąę nie pozwolę! — wyrzekła groźnie — nie pódę! A jak mnie przyniewolisz, to siekierą łby dzieciom porozbijam, a sama choćby do studni! Prawdę mówię, tak mi, Panie Boże, dopomóż! Zapamiętaj to sobie! — krzyczała, klękając przed obrazami, jakby do uroczystej przysięgi.

— Cicho! Dyć jeno tak mówię!

Wytchnęła nieco i rzekła ciszej, ledwie już łzy powstrzymując.

— Odsiedzisz swoje i wrócisz! Nie bój się, dam se radę... nie uronię ci ni zagona, jeszcze me nie znasz... nie popuszczę z pazurów. Pan Jezus pomoże, to i taki dopust udźwignę — płakała cicho.

Medytował długo i w końcu powiedział:

— To będzie, co Bóg da! trza poczekać na sprawę.

Że na nic się zdały chytre kowalowe zabiegi.



POKŁOSIE

FR. MORGAN

VI.

— Uwal się już raz i nie przeszkadzaj! — mruknął zgniewany Mateusz, przewracając się na drugi bok.

Szymek przywarł na chwilę, a skoro tamten znowu zachrapał, jął się cicho przebierać ze sąsiedka, gdyż mu się przywidziało, jako do stodoły, kaj spali, już się wdzierają mąty pierwszych świtań.

Omackiem zbierał po klepisku narzędzia, jeszcze wczoraj nagotowane, i tak się śpieszył, że mu raz po raz cosik leciało z rąk z przeraźliwym brzękiem, jaże Mateusz kłął przez śpik.

Ale nad ziemią leżały jeszcze ciemnice, jeno gwiazdy były już bladawe, na wschodniej stronie ździebko się przezierało, i pierwsze kury były skrzydłami, krzykając zachryple.

Szymek zebrał w taczki, co jeno miał, i, skradając się cichuśko kole chałupy, wydo stał się nad staw.

Wieś spała, kiej zabita, nawet pies nie zaszczekał, a w cichości słyhać było jeno bulgotanie wody, przeciskającej się przez zapuszczone stawidła młyńa.

Na drogach, przycienionych sadami, było jeszcze tak ciemno, że ledwie kajś niekaj zamajaczyła bielona ściana, zaś staw tyła je-

no przezierał z nocy, co tem lśnieniem odbijających się gwiazd.

Chłopak rażno pchał przed sobą ciężkie taczki, ale, dochodząc matczynej chałupy, zwolnił kroku, pilnie nasłuchując, gdyż w opłotkach jakby ktosik chodził z cichym a nieustającym mamrotem.

— Kto tam? — posłyszał naraz głos matki.

Zdrętwiał i stał z zapartym oddechem, nie śmiejąc się poruścić, zaś stara, nie doczekawszy się odpowiedzi, znowu jęła chodzić.

Widział ją, kieby cień, snującą się pod drzewami; macała sobie drogę kijaszkiem i chodziła, odmawiając półgłosem litanie.

— Tłuką się po nocy, kiej Marek po piekle — pomyślał, ale westchnął jakoś żałośnie i cichuśko, strachliwie przemknął się dalej. — Gryzie ich moja krzywda! Gryzie! — powtórzył z głęboką uciechą, wychodząc na szeroką, wyboistą drogę za młynem, i naraz pognął, jakby go cosik popędzało, nie bacząc już na doły ni kamienie.

Wstrzymał się dopiero pod krzyżem, na rozstajach dróg podleskich. Za ciemno było jeszcze stawać do roboty, więc se przysiadł pod figurą, odzipnąć nieco i poczekać.

— Złodziejska godzina, nie sposób rozeznąć zagona od boru — mruczał, brodząc oczyma po świecie. Pola stały jeszcze potopione w rozmrowionych ciemnościach, ale

na niebie już się coraz barzej jarzyły złociste smugi świtania.

Dłużył mu się czas, że jął się pacierza, ale co jeno tknął ręką orosiałej ziemi, to gubił słowa i spominał se z lubością, jako już idzie na swoje, na gospodarke.

— Mam cię i nie popuszczę — myślał hardo, radośnie i z niezmierną zapamiętałością kochania wżerał się rozgorzałemi ślepiami w skołtunione pod lasem ciemności, kaj już czekały na niego te sześć morgów, kupione od dziedzica.

— Przygarne ja was, sieroty kochane, i nie opuszczę, póki życia! — mamrotał, ściągając kożuch na rozmamlane piersi, bo go był chłód ździebko przejmował, i, wparłszy się w krzyż plecami, zapatrzony w świtania, zachrapał, rychło zmożony śpikiem.

Już pola szarzały, kiej wody, szeroko rozlane, a siwe od rosy zboża, trącały go rozruchanymi kłosami, gdy zerwał się na nogi.

— Dzień, kiej wół, pora na robotę — szepnęła, przeciągając koście, i klękła pod krzyżem do pacierza, ale nie trzepał na pytel, jak się to zawdy robi, bele jeno zbyć, a dużo nawzdychać, a w piersi się nagrzmocić i tyła się nażegnać, jaże kulas zdrętwieje: dzisiaj było inaczej, o wspomnienie bowiem Pańskie zabłągał rzewliwie i tak ze wszystkiej duszy, jaże mu łzy pociekły,

i obejmując Jezusowe nóżki, zaskamlał, wpatrzony wiernymi ślepiami w Jego twarz umęczoną i świętą:

— Dopomóż, Jezu miłosierny! Rodzina mać me ukrzywdziła, tobie się jeno oddawam, sierota! pomóż! Dyć, kiej ten ostatni, na ciężki wyrobek staję! Juści com grzesz-

ny, ale me spomóż, Panie miłosierny, to już na Mszę dam, abo i na dwie! Świec nakuپیę, a jak się dorobię, to nawet baldach sprawię!—prosił i przyobiecował, serdecznie przywierając wargami do krzyża, obszedł go na kolanach, ucałował pokornie ziemię i wstał wielce skrzepiony i dufny w siebie.

I mocnym się poczuł i gotowym już na wszystko i tak dobrej myśli, że, ująwszy ciężkie taczki, pchał je, kiej piórko, hardo tocząc oczyma po Lipcach, leżących niżej, a całych jeszcze we mgłach, z których jeno kościelna wieża biła wysoko, grając w zorzach pozłocistym krzyżem. (DCN)

LITWA.*)

O litewskim ruchu narodowym, rozwijającym się od lat przeszło dwudziestu, społeczeństwo polskie ma wciąż jeszcze pojęcie nader mętne.

Ci, co ze zjawiskiem bezpośrednio się stykają: mieszkańcy gub. kowieńskiej, części suwalskiej i wileńskiej, biorąc udział w walce, a ściślej mówiąc, broniąc tradycyjnej przewagi języka polskiego w kościele (jedynej instytucji, w której praw mowy naszej nie pogwałcono), traktują t. zw. „pretensje litwomańskie“, tylko jako jeszcze jeden zamach na ich dziedzictwo narodowe i istoty ruchu bezstronnie oceniać nie mogą. Reszta ma tak słabe wiadomości wogóle o Litwie i jej zaludnieniu, że do spraw tamtejszych odnosi się bezkrytycznie.

Nawet wśród inteligencji naszej często można spotkać się z mniemaniem, jakoby Litwa była taką samą mniej więcej prowincją b. Rzeczypospolitej, jak Poznańskie lub Galicya. Mając w pamięci powtarzany w podręcznikach historii fakt pokojowego zbratania się dwu narodów, nie bierze się pod uwagę różnic etnograficznych i nie uwzględnia, że na olbrzymiej przestrzeni dziesięciu gubernii Litwy i Białej Rusi Polacy—w lwiej części szlachta i mieszczaństwo—stanowią jeno drobny ułamek ludności, której *gros* składa się z nielechickich tłumów chłopstwa.

Litwa tylko dopóty mogła zachowywać charakter polski, dopóki interesy krajów i narodów reprezentowała szlachta. Odkąd to się zmieniło, odkąd demokratyzacja społeczeństw europejskich poczęła [dawać głos masom ludowym, i masy te upomnieć się musiały o bezpośredni dostęp do cywilizacji. Odrodzenie Litwy nie jest więc bynajmniej zjawiskiem sporadycznym. Podobne ruchy spotykamy nawet w słynnej ze swej jednolitości Francji, gdzie—jak wiemy—kwitnie dziś literatura gwar prowincjonalnych; to samo dzieje się w Hiszpanii; z analogicznych przyczyn nastąpiło odrodzenie Śląska, a jeszcze wcześniej Czech i t. d.

Kto więc na obecny ruch litewski spogląda, jako na dzieło intrygi rządowej, ten płytko zjawisko ocenia.

Ów sąd powierzchowny ma jednak to na swe usprawiedliwienie, że faktycznie intryga biurokracji wplątała się w proces żywiołowy i, jakkolwiek wpływ miała nań bardzo wątpliwy, usiłowała wyzyskać okoliczności na rzecz, jeżeli nie rusyfikacji, to bodaj odpolszczenia kraju.

Machinacje te spowodowały zamieszanie w opiniach społeczeństwa polskiego, wprowadziły je w błąd i zaostrzyły walkę między zgodnie dotąd żyjącymi narodami. To był ich sukces.

Nie ulega wątpliwości, że, gdyby Polacy uświadomili sobie, że odrodzenie Litwy jest koniecznością dziejową, wynikającą z ducha czasu, nie traciliby sił na stawianie bezcelowych przeszkód i rozpalanie wojny domowej. To też, choć późno, dobrze będzie z fałszywej drogi zawrócić

i przerwać kłótnię, na której widok „ten trzeci“ zaciera ręce.

Książka p. Michała Römera zdaje się właśnie nas do tego nawoływać. Autor z nadzwyczajnym obiektywizmem przedstawia czytelnikowi polskiemu prawdę, jak się faktycznie rzecz ma z ruchem litewskim. Więc przedewszystkiem zaznajamia nas we wstępie z właściwościami podłoża etnograficznego, omawia poszczególne prowincje, streszcza ich przeszłość i charakteryzuje obecny stan kultury. Mówiąc o składzie ludności, p. R. podkreśla, że żywioł polski nie jest bynajmniej na gruncie litewskim elementem napływowym, lecz tylko wynarodowionym.

„Mocny i wyrazisty rozwój kultury litewskiej został wstrzymany w zaraniu historycznych dziejów Litwy, jednocześnie ze wzrostem władzy wielkksiążęcej i ustaleniem się państwowości, która miała charakter przeważnie odporny i była wyrazem obrony bytu od napastujących kraj zewsząd sąsiadów. Państwowość litewska, która się krystalizowała i zahartowała w walkach odpornych o zachowanie bytu, wchłonęła w siebie lwią część twórczej mocy szczepu i skupiła w sobie największą żywotność narodu“... „Z narodu twórczego i organizującego się w gospodarczych posiadłościach krajowych Litwa stała się państwem zdobywcem... Kulturę swą przechowała odtąd w stanie statycznym, ujętą w swem starożytnym pogaństwie, w mitologii, w obyczajach, w pieśniarstwie“... Przyjęcie chrześcijaństwa i równoległe zespolenie państwowe z Polską popchnęło Litwę dalej w kierunku osłabienia indywidualności kulturalnej.

Z upadkiem pogaństwa, w którym krystalizowała się znaczna część dorobku duchowego, Litwini musieli przeżyć długi proces przesilenia wewnętrznego, nimby zdołali w zupełności wcielić się do chrześcijaństwa i dopasować doń dalszy swój rozwój narodowy. Lecz oto jednocześnie

z przyjęciem nowej wiary rozpoczął się proces oddziaływania na Litwę państwowości i kultury polskiej wcześniej, nim zdołała Litwa wyjść zwycięsko z przesilenia. W tych warunkach najpodatniejsze do rozwoju kulturalnego elementy, mianowicie: część najwyższej szlachty i ludność większych miast, nie mogąc w sobie zharmonizować podłoża litewsko-pogańskiego z napływową cywilizacją polsko-chrześcijańską, zaczęły wprost chłonać nowe wpływy, czyli wynaradawiać się.

W ten sposób objaśnia p. Römer rzadkie w dziejach zjawisko skupienia się w jeden dwu narodów. Było ono w rezultacie dla kultury litewskiej i dla litewskich mas ludowych szkodliwe. Albowiem za wyższymi warstwami tamtejszego społeczeństwa szły wogóle wszystkie sfery, do działalności cywilizacyjnej zdolne. Pracowały one dla polskości, pozostawiając tłum chłopstwa własnego w zupełnym bezładzie; cokolwiek się cywilizowało, równocześnie ulegało polszczeniu i traciło kontakt ze swem podłożem etnograficznym.

Jak dalece wszakże obecny proces odrodzeniowy jest samodzielny, wcale nie sztuczny, dowodzi fakt, iż między działaczami, którzy mu największe oddali usługi, spotykamy ludzi, niechętnie odnoszących się do ruchu i pracujących dlań bezwiednie. Np. taki prof. Kurszatis, Prusak z przekonań politycznych, bez żadnych tendencji litwomańskich, lecz wprost jako lingwista, był twórcą pierwszej, naukowo opracowanej, gramatyki języka litewskiego. Pracował on tylko nad ciekawą dlań gwarą ludową i nieświadomie stał się pionierem „złobnej mżonki“, jak proces odrodzeniowy nazywał.

Działo się to w ósmym lat dziesiątku minionego stulecia, gdy, nie bacząc na represje rządu rosyjskiego, mimo wzbronienia od r. 1863 druku książek litewskich, świadomość narodowa poczęła już na dobre się budzić. Okres ten przedstawia nam p. Römer bardzo szczegółowo. Opisuje powstanie słynnej „Auszry“, działalność d-ra Basanowicza i Szliupasa; następnie zróżniczkowanie się ruchu na demokratyczny i klerykalno-narodowy; dalej idzie kolejny przegląd stronnictw, który autor doprowadza aż do czasów obecnych.

Jakkolwiek p. R. usiłuje z powodzeniem do wszystkich partii odnosić się jak najbezbstronniej, jednak—opisując zjawisko zbyt mu bliskie—nie ustrzegł się innego niebezpieczeństwa: mianowicie popadł w nadmierną drobiazgowość. Szczegółowe traktowanie zjazdów, programów i polemik partyjnych uczyni książkę p. Römera dziełem źródłowym dla przyszłych historyków. Dziś jednak pozbawia ją wyrazistości, utrudnia zorientowanie się w syntezie.

Zaznaczam, iż dotyczy to jedynie części pracy. Mimo wszystko, dał nam autor książkę niepowszednią, opartą na studiach sumiennych, doskonałej znajomości przedmiotu, a w dodatku owianą duchem wysoce humanitarnym i pragnieniem stworzenia nowego *modus vivendi* między chwilowo poróżnionymi braćmi. B. H.



*) Römer Michał. „Litwa“ (Studium o odrodzeniu narodu litewskiego). Lwów, 1908, Polskie T-wo Nakładowe, str. 438.

Z MROKÓW BARBARZYŃSTWA.

Inter arma silent leges *)...

Żadne zdanie lepiej nie ujmuje istoty stosunków, panujących w średniowieczu, gdy zwyrodniało już czcigodne prawo wojenne starogermańskie, a wszechwładnie zapanowała siła pięści i prze-



Samson w młynie.

mocy. To też sprawiedliwie zupełnie jeden z kardynałów rzymskich XV wieku ocenia obraz współczesnego życia, twierdząc, że „terra tota unum latrocinium est, et ille inter nobiles gloriosior, qui rapacior” (**).

Nie pomogło zbawienne światło nauki Mistrza z Nazaretu, nie powstrzymały piętrzącej się nawałnicy przesądów i ciemnoty wzniosłe ideały moralne, gdy „zbrodnia Kaima“, dawno utajona w sakramencie zbiorowej duszy ludzkości, w całej swej nagości i ohydzie wyjrzała na światło dzienne.

Takim momentem w dziejach ludzkości było średniowiecze. Świat cały jakgdyby przeistoczył się w jaskinię zbójów, a najlepszym i najczcigodniejszym stał się ten, kto najwięcej krwi przelał, obmyślił najpiekniejsze kary i zadał najsrozsze katusze i zbrodnie.

Nawet ci, którzy za luminarzy społeczeństwa siebie uważali, dali ujście swej ziemskiej chuci i zwierzęcym popędom w postaci „świętej“ inkwizycji. Straszne to słowo! Mroczne lochy i więzienia, cały arsenał potwornych narzędzi do wymierzania kar i zadawania najokropniejszych mąk, jak krwią ociekające widmo, dotąd jeszcze przesuwają się przed wzrokiem, jeżąc włosy na głowie. Wprost wierzyć się nie chce, że ludzkość dojdzie mogła do takiego zwyrodnienia, by męczyć dla samej męki, zabijać dla rozkoszy, jaką dawała zbrodnia. A jednak tak było, gdyż, jak stwier-



Chłosta.

dzają najnowsze badania psychopatologiczne, sadyzm był najznamienniejszym zbrodniem średnio-

*) W zgiełku orężnym milczą prawa.

***) Cała ziemia jest jedną jaskinią, a ten wśród szlachty sławniejszy, kto większy zbrodzień.

wiecznego człowieka. To też męczono i tracono winnych, a najczęściej niewinnych, z chorobliwej potrzeby, by zadowolić zwyrodniałe tłumy, żadne podnieity i wrażeń, których dostarczał widok cudzych cierpień i męki. A ile ludzkich istnień ginęło, ile krwi się przelało wśród najokropniejszych tortur i udręczeń, dość będzie przytoczyć statystyczne dane z działalności jednego tylko kata, który w swoich pamiętnikach z chępliwą dumą zaznacza, że zgładził i zamordował przeszło 13,000 ludzi! Blakną wobec tego najbardziej ponure karty z przeszłości...

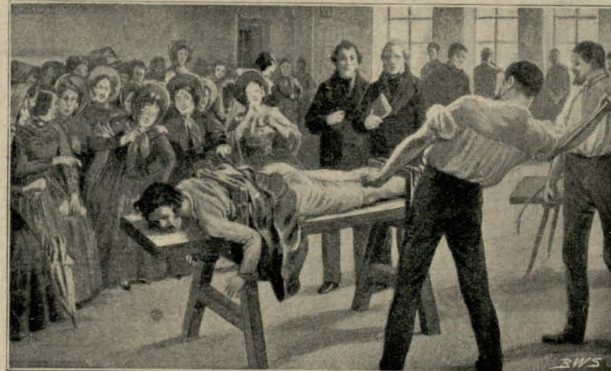
Zawsze i wszędzie zabezpieczano się wobec nieprzyjaciół i osób szkodliwych wogóle, bo i Stary Testament daje nam liczne tego przykłady, lecz kara zwykle miała na celu zatamowanie dalszej zgubnej działalności przestępcy i osiągnięcie zeń korzyści, zmierzającej do ogólnego dobra. Za wymowny przykład w tym wypadku może posłużyć chociażby przełożona na operę historia silnego Samsona, który za karę przykuty został mocnymi łańcuchami do młyńskiego koła i, obracając je, męł ziarno na mąkę. Jak widzimy, łączy się tutaj ukaranie przestępcy z korzyścią społeczną przez celowe wyeksploatowanie nadzwyczajnej siły Samsona dla użyteczności publicznej. Wogóle wszędzie, gdziekolwiek w Starym Testamencie mowa o karach, nie spotykamy się prawie z beczynnem odbywaniem pokuty w więzieniach, natomiast znajdujemy wiele przykładów przymusowego zatrudnienia przestępców ciężką i mozolną pracą, skierowaną rozumnie i planowo dla dobra ogólnego i osobistego jednostki, wyeliminowanej poza nawias społeczny.

Inaczej było w średniowieczu. Dla wszystkich stały ciągle otworem lochy i więzienia, i prawie nigdy nie brakowało dla zapelnienia ich skazańców. Jeszcze i dziś znajdujemy w zamkowych ruinach i zamkach, które się dotąd zachowały, potworne więzienne podziemia, właściwie ponure, wilgotne i trąące stęchlizną nory, dokąd nie przenikał nigdy najmniejszy promień światła. Dreszcz wstrząsa ciałem, gdy przechodzi myśl, że w nich jednak całymi nieraz latami trzymano ludzi, męczonych z iście dyabelską rozkoszą.

Jedyna wygoda nieszczęśliwych ofiar polegała na wiązce słomy, która naturalnie gniła w takiej mysiej jamie, a często nie użyczano i tego nawet dobrodziejstwa, gdyż więźnia należało męczyć wszelkimi sposobami, ażeby skuteczniej i prędzej dopiąć celu. To też przedewszystkiem skuwano mu ręce i nogi ciężkimi, żelaznymi łańcuchami, które, wrzynając się w ciało, zdwajały ból i cierpienia. Prócz tego ofiara gwałtu i przemocy musiała w ciasnej swej norze zalać wszystkie potrzeby naturalne, a ponieważ luksusem byłoby uprzątnięcie więzienia, więc wyobrazić sobie możemy, jak zatrute było w niem powietrze.

Tem mniej mógł się spodziewać uciech Lukulla nieszczęśliwy jeniec. Pożywienie, jakim podtrzymywano go przy życiu, składało się zazwyczaj ze złej wody i gorzkiego chleba. To też rzadko kto dłużej mógł wytrzymać w takim położeniu i najczęściej dobrowolnie zadawał sobie śmierć własnymi rękami, tem bardziej, że życia wówczas nie cenił wcale.

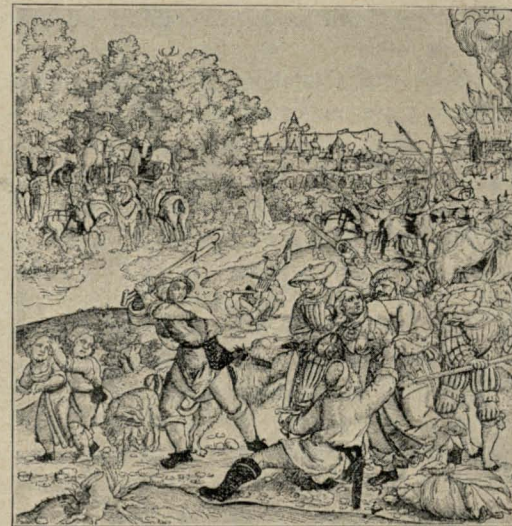
Wyjątki w utrzymywaniu i odżywianiu więźnia zdarzały się tylko wtedy, gdy życie jego stawało się cennem przez wzgląd na spodziewany okup. Lecz w tym wypadku troszczono się znowu o przyspieszenie tego momentu i stosowano cały arsenał potwornych narzędzi męczenia, by zmusić krewnych lub przyjaciół, z których każdy znał los jeńców, do rychłego złożenia okupu.



Bastonada.

Więźniów zawsze było pod dostatkiem. Rycerze-rozbójnicy, sami bezpieczni w swych warownych zamkach, z zamięłowania uprawiali napady i łupiestwo, starając się o zdobycz lub o jeńców, których opłacało się trzymać w więzieniu. Najczęściej też napadano na órszaki bogatych kupców, na których czatowano wśród lasów i wzgórz, w braku jednak tej sówicie opłacającej się roboty rabowano całe wsie i zabijano mieszkańców z upodobania tylko i dla wprawy.

Rycina nasza przedstawia takie najście rycerskie i sama już wymownie ilustruje te okropne



Napad na wieś.

sceny, jakie odgrywają się w takich wypadkach.

W mrokach barbarzyństwa długo, bo przez całe wieki, płynęło życie ludzkie. Długo milczały prawa wśród szczyku oręża, a ponure lochy, jak rozwartą paszcza otchłani piekielnej, niweczyły tysiące ludzkich istnień. Dopiero zbawcza reformacja położyła kres wiekowej nocy średniowiecza i bryłę świata na nowe wpełchnęła tory.

Zabytki jednak tej minionej już przeszłości przetrwały po dziś dzień, nabierają w pewnych momentach współczesnego życia szczególnej pobudliwości krwi, nerwów i mięśni—więzienne kazamaty, kara śmierci i kara cielesna.

R. KWIATKOWSKI.

ZŁOTE LISTKI.

Ach tam, gdzie pierwsza witała mnie zorza,
Gdzie tyle w życiu dosłyszałem gwaru,
Przez te zastygłe i umarłe morza,
Wróć do uczuć młodzieńczych pożaru;
Po kwiat się jeden schylę nad łez wodą,
A może znajdę swoją duszę młodą.

A. ASNYK „Fragment”



Ogólny widok wnętrza biblioteki kapitulnej na Wawelu. Na dole w szafach olbrzymie graduły i kancyonały, z których jeden otwarty.

Biblioteka katedralna na Wawelu.

W rzędzie skarbnic starej kultury polskiej jedno z najpocześniejszych miejsc zajmuje niewątpliwie mało dotąd znana biblioteka kapituły archikatedralnej w Krakowie, mieszcząca się w kilku wspianiałych salach tuż przy katedrze wawelskiej.

Biblioteka ta, stanowiąca dzisiaj zaledwie część tego, czym była dawniej, w wiekach szesnastym i siedemnastym, jak o tem wiemy z zachowanych z owych czasów inwentarzy, jest mimo to jednym z najdobitniejszych świadectw tego dziwnie potężnego rozmachu kulturalnego, jaki cechował Polskę za Jagiellonów.

Zeszły się tu odległe wieki, od 11-go począwszy, i oto przemawiają teraz z potężnych foliałów pergaminowych dziwnym językiem dawnej wielkości naszej. Jakie ustosunkowania, jakie interesy intelektualne, jakie umysły musiały się skupiać u stóp tej katedry wawelskiej, skoro tyle po nich pozostało tak wyraźnych i szacownych śladów, mimo że wiele dla ich zatarcia uczyniły późniejsze wieki barbarzyństwa i upadku, nie- szczęść i katastrof.

Dziewiętnasty wiek zastał tę cenną bibliotekę, która mogłaby dostarczyć pierwszorzędnych „białych kruków” najwspanialszym księżnikom świata, w upadku i poniewierze. Czynniki, powołane do tego, nie troszczyły się o losy tych ksiąg sędziwych. To też wiele z nich poniszczono i zaginęło niepowrotnie, wiele poszpeciły i sprofanowały jakieś ręce barbarzyńskie, wycinając n. p. z najpiękniejszych woluminów karty pergaminowe na oprawę jakichś nędznych książczydeł.

Ale z czasem fala ogólnego odrodzenia narodowego i kulturalnego podniosła się aż tutaj. Kapituła krakowska zrozumiała, jakie ma obowiązki wobec tych skarbów, i żarliwie zabrała się do naprawy błędów i zaniedbań poprzednich pokoleń. Dzisiaj najcenniejsze ozdoby biblioteki spoczywają już w pięknych dębowych szafach w przestronnej sali, a taki historyk i badacz, jak dyrektor archiwum miejskiego, dr. Chmiel, pracuje usilnie i z zapałem głębokiego uczonego i miłośnika nad uporządkowaniem reszty księgozbiorów. Re-

szta ta zaś wcale nie jest lekceważenia godną. Długi, wązki kurytarz, tak zw. „szyja”, łączący salę obrad kapituły z katedrą, jest dosłownie zapakowany księgami, foliantami, rękopisami i nutami. Jakie skarby nieznanne mieszczą się jeszcze w tej szyi—dziś niewiadomo nikomu. Porządkowanie, rozpoznawanie i ocenianie tych zbiorów może odbywać się tylko bardzo powoli, bo to praca żmudna, głębokiej wiedzy wymagająca, a jeszcze większego zapału i poświęcenia—bo można ją wykonywać tylko bezpłatnie... Znaczną część księgozbioru kapitulnego skatalogował i opisał w roku 1884 ks. Ignacy Polkowski. Obecnie katalog ten uzupełnia i prowadzi dalej dr. Chmiel.

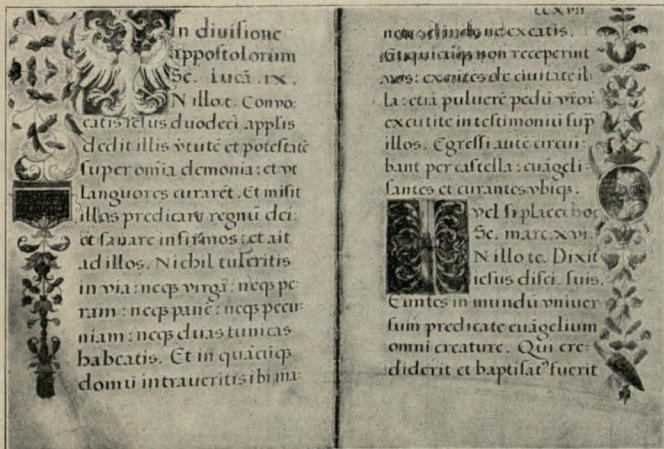
Aby dać pojęcie o skarbach tej biblioteki, wspomnę, że znajdują się tu zabytki tak niezmiernie cenne, jak *Emmeramski kodeks ewangelii*, pisany w klasztorze Benedyktynów w Ratysbonie około roku 1070. Miniatury romańskie, w które obfituje ten kodeks, mają wielkie znaczenie dla historii sztuki średniowiecznej i stanowić będą z pewnością przedmiot badań uczonych.

Równorzędnym pod względem starożytności, a jeszcze cenniejszym, jako źródło do historii prawa kanonicznego, jest stosunkowo doskonale dochowany kodeks pergaminowy, zatytułowany „*Decreta Romanorum pontificum*”, z początku XII wieku. Analogiczne, ale nie identyczne pomniki prawa kanonicznego posiadają jeszcze tylko biblioteka Watykańska i biblioteka kapitulna w Gnieźnie. Kodeks ten zawiera cały szereg ważnych dekretów papieskich, uchwał synodów kościelnych i t. p., z których wiele, jeszcze nigdzie nie ogłoszonych, oczekuje swojego badacza.

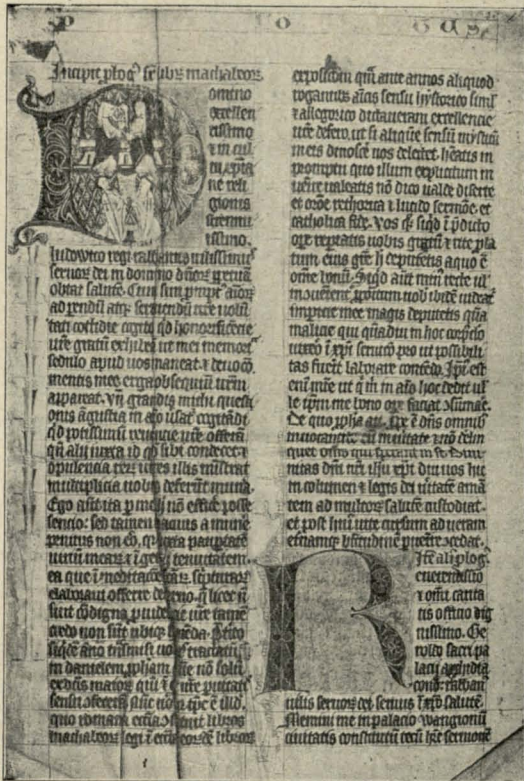
Sercu polskiemu nader miłą pamiątką jest trzecia część krzyżackiej „*Bibliae sacrae*” (dwie pierwsze zaginęły), którą darował kapitule krakowskiej Władysław Jagiełło, jako część łupu wojennego z bitwy pod Grunwaldem. Wielka ta księga, pisana przecudnym gotykiem i iluminowana przebogatymi inicjałami i ornamentami, ma na ostatniej karcie napis, z którego okazuje się, że była ona własnością komtura Chrystburskiego, księcia brunświckiego *Ludera*, który był wielkim mistrzem zakonu w czasie od 1331 r. do 1333 r.

Równie cenny jest oryginalny zabytek, nazwany „*Banderia Prutenorum*” (Chorągwie pruskie). Jest to zbiór kolorowanych podobizn 56 sztandarów krzyżackich, wziętych w bitwie pod Grunwaldem (52) i w bitwie pod Nakłem (4). Zbiór ten kazał Jan Długosz sporządzić malarzowi krakowskiemu, Stanisławowi Durinkowi, który też wiernie sztandary krzyżackie na kartkach pergaminowych odmalował, podając przy każdej rycinie wymiary chorągwi. Długosz zaś własnoręcznie podpisywał, do kogo która chorągiew należała.

O wielkim tryumfie oręża polskiego nad Krzyżakami przypomina jeszcze jedna karta pięknej ewangelii ks. biskupa Tomickiego, napisanej na jego rozkaz w r. 1534 przez Stanisława Gorskiego, jak się o tem z następującego dopisku dowiadujemy: „pulchre manu V. D. Stani. Gorski scriptus.” Otóż w kodeksie tym, przy ewangelii, przypadającej na dzień 15 lipca, wymalował Gorski wielkiego orła ziem pruskich, miniaturę Władysława Jagiełły, a po lewej stronie, w boga-



Liber Evangeliorum ks. bisk. Tomickiego z r. 1534, otwarta w miejscu ewangelii, przypadającej na dzień 15 lipca, z wspomnieniem o rocznicy grunwaldzkiej.

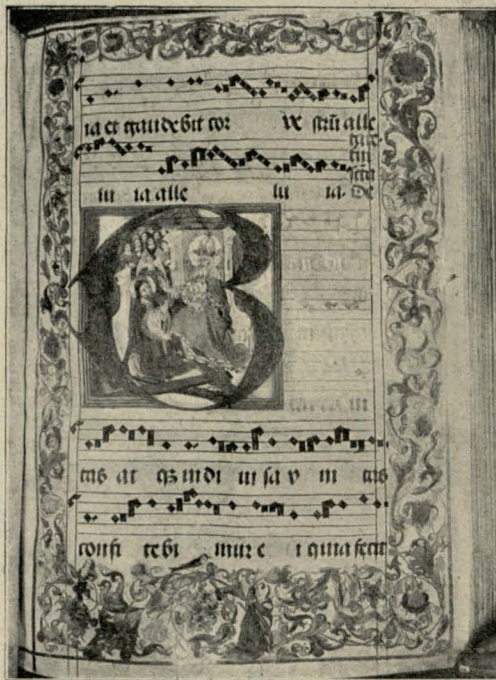


Pierwsza stronica Biblii krzyżackiej, wziętej razem z innymi łupami pod Grunwaldem, a darowanej kapitule krakowskiej przez Władysława Jagiełłę.

tym ornamencie umieścił napis: „Insignis et memoranda perpetuis polonorum de prutenis hac sancta die Victoria”.

Wspaniałe mszały, cenne dzieła jurystyczne, mowy, rozprawy teologiczno-filozoficzne, ogromny zbiór dekretów królewskich i innych dokumentów, nawet poezje (Zbiór utworów Claudyana), oto w krótkich słowach zawartość tego nieoszacowanego księgozbioru.

Osobny i dla poznania dziejów naszej kultury ogromnie ważny dział biblioteki kapitulnej w Krakowie stanowią dzieła muzyczne, a to zbiory nut do śpiewu na organy i na orkiestrę. Ogromną bibliograficzną wartość mają przede wszystkim kancjonały i graduały, które dochowały się na Wawelu w kilku przewspaniałych egzemplarzach. Olbrzymie są to księgi, oprawne w skórę, brąz i żelazo, ozdobione mnóstwem przedziwnej piękności miniatur i niezwykle bogato iluminowane. Jako źródła historyczne do dziejów muzyki w Polsce, nie mają one jednak wielkiej wartości. Wszystko to bowiem



Stronica z graduału, zwanego „Bykiem”, z miniaturą, przedstawiającą Zmartwychwstanie Pańskie, roboty prawdopodobnie Tomka z Wieliczki, koniec XV lub początek XVI wieku.

są wiernie pospisywane śpiewy Gregoriańskie. Natomiast skarby prawdziwe kryją się woluminach wszelakich nut, które nietylko nikt się dotąd nie zajmował, ale które uważano nawet za zupełnie zbyteczną makulaturę, zabierającą niepotrzebnie miejsce w bibliotece.

I kto wie, co by się z tymi nieznanymi jeszcze stosami muzykaliów kapitulnych było stało, gdyby młody i uzdolniony wysoce muzyk i kompozytor, p. *Bolesław Raczynski*, nie był podjął się bezpłatnie uporządkowania tych skazanych na zagładę „szpargałów”. P. Raczynski pracuje nad odczytaniem i inwentaryzowaniem dzieł muzycznych stosunkowo od niedawna.

Dlatego też, idąc od czasów najnowszych w głąb, zdołał dopiero dotrzeć do wieku 18-go. Znacznie cenniejsze muzykalia kryją się dotąd we wspomnianej już „szyi”, skąd dopiero stopniowo mogą być wydobywane. Tam bowiem musi leżeć cała biblioteka muzyczna Rorantystów z kaplicy Zygmuntońskiej. Czemu zaś byli Rorantysty i jakie jest ich znaczenie dla rozwoju mu-



Kartka z graduału, zwanego „Baran”, z miniaturą, przedstawiającą żaków, śpiewających z kantorami.

zyki polskiej, dowie się czytelnik z „Dziejów muzyki polskiej” Aleksandra Polińskiego, dzieła tem cenniejszego, że u nas dotąd w tej materii jedynego.

Dotąd odkrył p. Raczynski kilka kompozytów Mozarta, Heydna (współczesne kompozytorom odpisy) symfonię węgierskiego kompozytora Wanzura, a przede wszystkim szereg oryginałów *Paësillego*. Aby ocenić należycie odkrycie oratoryów tego wielkiego muzyka, potrzeba wiedzieć, że dzisiaj we Włoszech istnieją towarzystwa, mające na celu zbieranie i kompletowanie utworów Paësillego, rozrzuconych po świecie.

W bibliotece Rorantystów znaleziono dotąd mszę Szadeka (czasy Zygmunta Augusta) i chorał Wacława z Szamotuł (ur. 1529 um. 1572), jednego z największych muzyków polskich XVI wieku. Nie można wątpić, że dalsze poszukiwania uwieńczą się znacznie obfitszymi skutkami.

Kraków.

K. S.



Grupa zjazdu jubileuszowego Tow. pedagogicznego we Lwowie.

Fot. M. Münz.



Nowy gmach Tow. pedagogicznego we Lwowie.

Towarzystwo Pedagogiczne Lwowskie obchodzi 40-letnią jubileusz swjej szczytnej pracy dla dobra kraju i społeczeństwa. Licznie zgromadzeni delegaci i goście, jak również przedstawiciele władzy świeckiej i duchownej, biorą udział w uroczystości, by zaznaczyć, że pracy Towarzystwa przyświeca pokrewna wszystkim idea, i by ze stanowiska interesów ogólnonarodowych wyrazić kierownikom i członkom jego życzenia dalszego pomyślnego rozwoju. Przebieg obchodu jubileuszowego ma charakter bardzo podniosły i uroczysty; wśród gości są i przedstawiciele stowiańscy.



Pagoda w Katha, zbudowana 1256 roku ery birmańskiej, czyli 1899 r. ery naszej.

Odrodzenie ludów na wschodzie.

Do najbardziej ciekawych i charakterystycznych zjawisk obecnej doby należy odrodzenie się rozmaitych grup plemiennych, które do niedawna jeszcze były uważane za zupełnie „martwe“ pod względem politycznym.

W XIX wieku widzieliśmy zjawisko to wśród rozmaitych narodowości Europy, a obecnie napotykałyśmy je wśród plemion wschodu, które kolejno jedno za drugim budzą się z długowiecznego snu. Państwa, które już prawie rozsypywały się w gruzy, przejawiają nagle nadzwyczajną, chwilami wprost niepojętą żywotność i energię.

Przed 60-ciu laty najbardziej wytrawni politycy twierdzili, iż Japonia za lada pchnięciem ze wschodu lub zachodu, to jest od strony Stanów Zjednoczonych lub Rosji, stanie się popieliskiem ruin i zgliszcz, a tymczasem dziś Japonia jest pierwszorzędnym prawie pod każdym względem państwem.

Przed 10-ciu laty, kiedy mocarstwa Europy, idąc za przykładem Prus, zaczęły zabierać Chinom posiadłości, zdawało się, że państwo Syna Niebios, wraz ze swoją odwieczną kulturą, rozlała się już na kawałki i zanika z areny życia historycznego. Szczególnie wydawać się to mogło wtedy, gdy najbardziej cywilizowane państwa Europy nie tylko zalały krwią Pekin, ale i popaliły biblioteki, zniszczyły cenne rękopisy, ograbiły pałace, zabrały instrumenty astronomiczne, to jest zrobiły to wszystko, co ongi dzikie hordy, wtargnąwszy do Europy. Przecież nawet wódz jednego z najbardziej kulturalnych mocarstw, wysyłając swe wojsko do Chin, zachęcał w pożegnalnym przemówieniu żołnierzy do prowadzenia się na wzór „Hunnów“, by na długo napędzić strachu Chińczykom. A obecnie Chiny przejawiały nagle wiel-

ką energię życiową—i pozostawiono je w spokoju.

Jeszcze do niedawna Turcja była nie tylko „chorym człowiekiem“, ale i „trupem“ Europy. Tak już dawno ją pogrzebano, że nikt nie zauważył nawet okresu jej odradzania się. Prawie na kilka dni przed rewolucją Europejczycy, zamieszkali w Konstantynopolu, jak twierdzi korespondent *Times'a*, nie przypisywali

wielkiej wagi ruchowi młodotureckiemu, a tylko najbardziej subtelni z pośród nich dostrzegali, że „le bonheur des espions est passé“.

Obecnie Turcja już przeistoczyła się, a choć jest zupełnie możliwe, że konstytucja turecka, tak jak i perska, zatonie w strumieniach krwi, gdy nagle nastąpi reakcja, lecz będzie to tylko nieoczekiwanym pojawieniem się chłodu w początkach wiosny, niosącej jednak na przyszłość pogodną, jasną dni.

MAROKKO.



Mulej Hafid, zwycięski pretendent.



Abdul-Azis, zwyciężony sułtan.

Obudził się z letargu i Egipt. Zauważyć się dają potężne, życiotwórcze drgania w wielkiem mocarstwie wschodniem Mongołów z trzystamilionową przeszło ludnością. Odradzają się politycznie, socjalnie i ekonomicznie prastare Indye, a cała prasa angielska bije w dzwon trwogi i alarmu, niosąc swojemu społeczeństwu różne artykuły, broszury i książki o „Nowych Indyach“...

Przebudziły się też i francuskie Indo-Chiny. Otoczone zewsząd ogniskami rewolucyj i, pomnąc o bohaterskiej swej walce za niepodległość, zdradzają coraz wyraźniej objawy namiętnego niezadowolnienia. Wybuchają co chwila jawne rozruchy wśród ludności, tak, że nawet potrzebna jest interwencja wojska. Zresztą, zrewolucjonizowanie udziela się już armii, składającej się przeważnie z bardzo odważnych i dobrze wyćwiczonych tubylców.

Widzimy więc, iż historia współczesna wprowadza na arenę ciągle nowego, zmartwychwstającego Łazarza. Odrodzenie „niższych“ narodowości stale odbywa się przed naszym wzrokiem. Z tem nowem zjawiskiem Europa, pewna dotąd, iż do niej zawsze należy panowanie nad „poniższymi“ rasami, zmuszona będzie się liczyć...

R. KW.



Piramida Chefrena.

WIECZORY TEATRALNE.

Wieczór teatralny, spędzony—w domu.—Jak piszą i co mówią o teatrze inni.—Krytyka zawodowa zagraniczna a nasza.—Wyrozumiałość i pobłażliwość a przysięgłe niezadowolenie.—W poszukiwaniu humoru polskiego kroków kilka.—Może wידzenie ułudne, a może rzeczywistość.

Czytam od lat już kilku codziennie stale dziennik paryski *Le Temps*, nie dlatego, że jest to jeden z najważniejszych organów prasy politycznej wogóle, lecz że, redagowany doskonale, istnym jest rezerwoarem wysoce cennej właściwości umysłu, mianowicie specyficznie francuskiego: *bon sens*.

Chętnie szukałbym go w takiej obfitości i we wszystkich działach i rubrykach gazety, gdzieindziej... lecz dotychczasowe, a wcale nie dorywcze, obcowanie z prasą (np. rodzimą) nie obfitowało, pod tym względem, w zbyt pokaźne plony. Nie łakomy rakiety „ideowych“, szmerlujących w pustkę nadziejską, jeszcze mniej mglistych nastrojów lub też „konjunktur“, pajęczynami pozszywanych, że nie wspomnę o meskineryi wzajemnego gryzania sobie „pazurów“, które zazwyczaj niczem są innym, jak paznogciami, którymby się ochędóstwo niezmiernie przydało—po *Temps*'a mego sięgam, jak po szklankę kastalskiej, a bywa, że i letejskiej wody.

Oto, dla przykładu, w onegdajszym, czy też może z przed trzech, czterech dni, odcinku tegoż *Temps*'a skąpałem się, nie przymierzając jak w czystym, przejrzystym, świeżym strumieniu po rozmaitych *mohrbudach*, niewybrednej, lecz obowiązkowej lektury.

Dość... żem, nie doczytawszy do końca sprawozdawczego referatu jednego z „najwpływowszych“ krytyków naszych o „Hrabinie Cosel“, jał biesiadować z p. Pawłem Harmsem, krytykiem teatralnym berlińskim paryskiego *Le Temps*.

Czy sprzeniewierzam się w tej chwili wieczorowi teatralnemu? Sprzeniewierzam się dziś teatrowi o tyle, że w Letnim idą naprzemiany „Dyabeł“ i „Hrabina“ którychśmy z tego miejsca już oglądali, że w Nowym dają nieśmiertelnie francuską, nieśmiertelnie owiarołomioną ze wszech stron farsę „Raj“, którą pod inną nazwą oglądaliśmy już kiedyś niezawodnie lub niechybnie oglądać będziemy, że wreszcie na wznowioną w Nowościach „burleskową“ operetkę „Za oceanem“ nic nas nie nagli, a Maryan Gawalewicz w Małym popełnił jakąś „bombę“ niemilosierną (nad-bandyta odnoszący tryumf nad nad-detektywem!), sądząc, że na tego rodzaju robaczka złowi moc okrutną—galeryowych kielbików. A no... skoro dystyngowane towarzystwo tknąć nie chce pasztetów i ananasów, tedy—daje się Sherloka Holmesa *à rebour*. I—niema jak piorunować na raującego istnienie własne dyrektora... W tem właśnie przykreść cała!

Piorunować! Nie wiem, ale zdaje mi się, że my tu wogóle wszyscy, i pp. krytycy, i sz. publiczność obojej płci, nad wszelką miarę pochopni jesteśmy do grzmienia i błyskania w byle widowisko sceniczne. Może mylę się? Ale oto co mi, chyba *per modum contradictionis*, opowiada p. Paweł Harms z Berlina:

„Jeżeliście trafili — pisze w *Temps* — w którym z teatrów berlińskich, zamiast na dramat lub komedię, na rozprawę filozoficzną lub deklamowaną epopeję, nie sądzicie, że nazajutrz przyniesie wam prasa jednoznaczny wyraz oburzenia. Strzeż, Boże! My, krytycy sprawozdawcy berlińscy, jesteśmy sumienni i wyrozumiali. Gdy krawiec przyniesie nam zamiast zamówionego paltota zimowego letnie spodnie, najpierw spróbujemy użyć letnich spodni jako paltota zimowego, a gdy próba nie doprowadzi do żadnego rezultatu, łamać sobie zaczynamy głowę nad tem, czy przypadkiem nie winna temu własna nasza natura? Zastanawiać się będziemy, czy dorośliśmy sami do niepowszedniej, jak widać, koncepcji krawca. Wreszcie, godząc się z istnieniem nowych oto spodni letnich, odszukamy w nich niejedną zaletę i wychwalać nie omieszkamy ich użyteczności w czasie przyszłym, czyli z nastaniem upałów, jeżeli oczywiście sami do lata dożyjemy i pasować nam jeszcze będą one. Tymczasem zaś, rzecz prosta, rachunek krawca pośpieszamy uregulować.“

„W ciągu ubiegłego sezonu — pisze dalej krytyk berliński—dawano nam często w stołecznych teatrach sztuki wręcz niezrozumiałe. Im mniej rozumieliśmy je sami, tem usilniej tłómaczyliśmy publiczności, że ich głębokość dna zgoła nie posiada! Lub pisaliśmy o innej jakiej sztuce, absolutnie chybionej: „Autor popełnił, jako pisarz sceniczny, błąd niejedyn, lecz cele jego i zamiary są tak wzniosłe, że w nowej tej sile pisarskiej wielkie pokładamy nadzieje.“ I—sława wieluż to autorów stoi, ufundowana do dziś dnia na nadziejach, które się—nigdy nie ziściły!“

„Gdy wreszcie—kończy p. Harms—sztuka była, co się zowie, niemożliwa, gdy żadna z występujących na scenę osób nie miała nic wspólnego z żywą istotą, gdy akcja i jej motywy urągały wszelkiemu prawdopodobieństwu, natenczas, ratując sztukę i autora, wyrokowaliśmy: to symbolizm!“

Słyszał kto kiedy o krytyce tak względnej, tak wyrozumiałej, tak pobłażliwej, tak dbatej *quand même* o sukces sztuki!

Chwilę jeszcze... a oto i „żywy“ ukaże się dowód. Pisze tenże p. Harms o wystawieniu w Teatrze Lessinga dobrego naszego znajomego, „Dyabła“ Molnara. Bardzo podobał się Berlinowi. Krytyka berlińska znalazła w sztuce węgierskiej niejedną zaletę, a moment dyktowania listu Jolancie nazywa p. Harms *une scène admirable*. Myśmy tu półgębkiem odezwali się o „dowcipach“, którymi sztuka usiana, a krytyka berlińska nie tylko chwali dowcip (*esprit*) p. Molnara, uważając, iż w czasach dzisiejszej wogóle posuchy ma *esprit* sztuka stanowi ewenement wcale przyjemny i. że „nie należy wyważać niedelikatnie, ile też uncyi dowcipu zapożyczył p. Molnar od Oskara Wilde, a ile od Bernarda Shawa. „Co do mnie—pisze—wyznać muszę, iż wolę, by mi dawano dowcip pożyczany, niż nie dawano mi go wcale. Tem bardziej, że p. Molnar ma spryt zapożyczenia się u ludzi, rzeczywiście i nie tuzinkowo dowcipnych.“

Tak wygląda miara krytyczna francuskiego *bon sens* w porównaniu do surowej powagi naszej, drażniącej się tak często w toż sensata, dbatego przedewszystkiem o augurowy *prestige* własny.

Jedną zaś ręką kreślę słowa niniejsze, a drugą—biję się w piersi.

Tak... tak... Czyliż mnie samemu nie wydarzyło się świeżo, gdzieindziej w prasie naszej, sarknąć gorzkim wyrzutem na niewymowną francuskość naszego repertuaru fars, wodewilów i lekkiej komedyi? Same—przekłady z francuskiego! I—*mea culpa!*—dałem niedwuznacznie, a z krytycznego partesu do zrozumienia, że *należałoby* wystawiać—rodzime, *polskie* krotchwile i „lekkie“ utwory sceniczne.

Nie odpowiedział mi na to nic p. szef repertuaru farsy, Ludwik Śliwiński, lecz wyręczyło go doskonale sumienie moje własne.

— Słuchaj—rzekło mi ono—a gdzież widział dziś, kochanie, na horyzoncie swojskiej twórczości scenicznej owe farsy i krotchwile—polskie? Fiul! fiul! zachciało ci się gwiazdki z nieba i ptasiego mleka. Podstawą tętniącego życiem i werwą, wesołego utworu scenicznego jest przecie—*niefrasobliwość*. Na lekarstwo jej dziś niema w społeczeństwie naszym i, co za tem idzie, wśród naszych pisarzy. Łatwiej im, stokroć pochopniej i konieczniej: chmurzyć się, plwać goryczą, umyć duchem w „wielkich“ fikcyi zaświaty...

— Gdzież ty, kochanie, widział—mówiło mi dalej rozważne i nieubłagane sumienie—*humor polski* dziś? Gdzież dziś humor polski fertyczny i pikantny *à la Vie Parisienne* lub jowialny i pogodny a wykwinny *à la Fliegende Blätter*, lub sardoniczny i głęboki *à la Punch*, lub cięty i gryzący *à la Simplicissimus* i *Ulk*, lub bezwzględny i niedościgły samokrytyczny *à la Strekoza* i *Sieryj Wółk*? Gdzież, pod gwiazdął nieśmiertelności urodzony, humor polski, mogący iść w zawody z Dickensem lub Szczedrynem! Pokaż mi komedye, rozumie się, wesołe komedye, lub krotchwile nasze, którychby humor nie zwietrzył lub nie przeszedł w stylowość historyczną!

Po zawodowym niejako śmiechu Lama, po zgąsłej już dziś popularności przysięgłego ongi zabawiacza, Bałuckiego, po wyczerpanych już, zda się, wspaniałych błyskach rzeczywistego humoru Prusa i Sienkiewicza... zdobywamy się już dziś tylko na sztuczny koncept lub

na grymas niewybrednej satyry, na uraganie lub na pogodny „z łezką i uśmiechem“ sentymencik, na surogat istotnego humoru...

Tak coraz melancholijniej brzmiały monita mego sumienia, coraz smutniej, coraz beznadziejniej, aż przeszły, nie wiedzieć czemu, w melodyę jakąś, narazie niepochwytą, z której nie spostrzegłem się sam, jak wypłynęło zwolna, zwolna, dźwięczące już wyraźnymi wyrazami, śpiewne nucenie Verlaine'a:

Les sanglots longs
Des violons
De l'automne,
Blessent mon coeur
D'une langueur
Monotone...

I zdało mi się, że widzę—orszak pogrzebowy. Na wspaniałej trumnie: wieńca olbrzymiego szarfy. Napis: „Humorowi polskiemu—wdzięczni rodacy!“ A za karawanem kroczy p. L. Śliwiński, cały zapłakany, i urozmiaćca sobie ciężką, obowiązkową peregrynację, wertyując księgę okazałą: kompendyum krotochwil francuskich.

Podniosłem oczy z biurka na szyby okna. Spływał po nich chłodny, całkiem już jesienny deszcz. Wiatr szumiał... Nad dachami unosiło się szare, matowe niebo.

O!—chwała Bogu! To tylko nastrój jesienny tak mię zmógł. Humor polski wciąż kwitnie—gdzieś; musi kwitnąć; kwitnie niezawodnie!

Jako ów—kwiat paproci...

CZESŁAW JANKOWSKI.



WRAŻENIE.

(TEATR KRAKOWSKI).

Byłem w Krakowie na Wyspiańskiego „Weselu“ i „Warszawiance“. I dopiero teraz poznałem w całej pełni wpływ zgasłego poety, na młode zwłaszcza pokolenie. Ze sceny szło coś, czego określić niepodobna. Jakieś potężne tchnienie wielkiego i zasmuczonego do głębi ducha. Co moment dreszcz wstrząsał mną i poruszał przyrdzewiałe struny serca i grał na nich niepożyta pieśń złotokrwawej przeszłości, związaną z tem, co jest dzisiaj i co nadchodzi z przeczuciem zaledwie dali. Książka dać tych wrażeń nie może. Wielki malarz i wielki dramaturg tworzył królewskie swe wizye dla sceny wyłącznie. Kiedy w „Weselu“ obłądne, zahypnotyzowane pary kręcą się w kółko w marynetkowym tańcu szarego, bezmyślnego bytu, kiedy w „Warszawiance“ ostatni wiarus z wybitej co do nogi dywizyi wchodzi śmiertelnie ranny, zataczający się i z raportem staje przed Chłopicim, to z krzykiem rozbudzonej duszy żywiołowo ocyka się świadomość, że wali się na nas, jak burza, tytaniczny duch, co oczom ślepym przywraca światło i wnętrzościami targa.

A nazajutrz, kiedy na Skałce przykląknął u grobu Wyspiańskiego, z czcią pochylałem głowę przed widmem tego bladego, wynędzniałego człowieka, co nosił w sobie duszę, ukoronowaną bólem narodu i odzianą w jego przeszłą i przyszłą purpurę.

Powszechny kongres pokoju.

W dniach od 25 lipca do 1 sierpnia włącznie odbył się w Londynie powszechny kongres pokoju. Nie pierwszy to raz Londyn był siedziskiem podobnego zebrań. Tu bowiem już w r. 1843 odbył się pierwszy w Europie kongres pokoju, natychmiast po zniesieniu niewolnictwa. Drugi kongres odbył się w r. 1848 w Brukseli, trzeci rok później w Paryżu pod przewodnictwem Victora Hugo. Po następnych trzech kongresach (we Frankfurcie n. M., Londynie i Manchesterze), nastąpiła długa przerwa, i dopiero od r. 1889, w którym odbył się kongres pokoju w Paryżu, zebrań takie powtarzają się corocznie, a obecnie świeżo zamknięty zjazd jest siedemnastym z kolei w tej nowej seryi.

Ze względu na szczupłość udzielonego nam miejsca musimy, pragnąc skreślić przebieg i znaczenie kongresu obecnego, poprzestać na szkicu najogólniejszym.

Ażeby zrozumieć znaczenie międzynarodowej propagandy pokoju, należy przede wszystkim pamiętać, że pokój europejski możliwym stanie się jedynie w warunkach zreformowania polityki europejskiej według zasad moralności, obowiązującej w stosunkach pomiędzy ludźmi wogóle, że moralność czyli sprawiedliwość w polityce musi doprowadzić przede wszystkim do równouprawnienia i samookreślenia narodów, że ciosy, zadane różnym narodom przez łupieżstwo, muszą być zagojone. Te zasady zostały już należycie sformułowane w umysłach przywódców pokoju i w szerokich kołach adeptów tej idei, obecny zaś kongres nie tylko do tego się przyczynił, ale za główne, rzecz można, miał zadanie wyjaśnić i podkreślić tezę, że pokój powszechny jest synonimem sprawiedliwości międzynarodowej. Nadto zламаł on ostatecznie głupią zasadę, która panowała nawet w związkach pokoju — „niemieszania się do spraw wewnętrznych państw”. Mądrość polityczna Anglików doprowadziła w tym wypadku do postawienia na porządku dziennym sprawy, że narody, doznające ucisku, muszą mieć prawo apelacji do trybunału w Hadze. Zjazd obecny składał się z siedmiuset kilkudziesięciu członków. Prezesem honorowym, bardzo czynnym, był lord Courtney de Penwith, prezesem aktualnym Alexander, wiceprezesem Newman, skarbnikiem sir John Lubbock (lord Avebury), sekretarzem głównym H. S. Perris, sekretarzami honorowymi sir E. Darby i Fr. Green.

Czynności kongresu podzielić można na cztery kategorie, a mianowicie: prace w komisjach, zebrań ogólne, wielkie zgromadzenia publiczne oraz przyjęcia i rozrywki.

Komisji było kilka: a) do spraw aktualnych bieżących, b) prawa międzynarodowego, e) rozbrojenia, d) propagandy, e) wychowania i oświaty. Wiele pracy włożono w obrady te, które odbywały się w urzędowym siedzisku kongresu, w Caxton Hall, a rezultaty obrad komisji referowano na zebraniach ogólnych.

Najwięcej uchwał powzięto w dziedzinie wychowania i oświaty w duchu pokoju. Wobec szczupłości miejsca wskażemy tylko na zaznaczonych parę konkretnych faktów w tej dziedzinie. Otóż w Holandii i Belgii wydano już dla diatwy szkolnej podręczniki historii, zupełnie na nowych oparte podstawach, a mianowicie uwzględniające najbardziej te fakty z dziejów narodów, które odnoszą się do cywilizacji i kultury, a zjawisk politycznych podkreślające te, w których raczej uczciwość i wspólnomyślność narodu, niż barbarzyństwo się objawiało. Według formuły, przez kongres przyjętej, należy dzieci uczyć, iż życie pożyteczne i ofiarne więcej znaczy, niż śmierć „na polu chwały”, że śmierć taka bywała często naganna nawet, jeżeli miała na celu ujarzmienie jakiegoś narodu. Zaznaczyć również należy, że w szkołach węgierskich urzędowo nakazano poświęcać jeden dzień w roku (18 maja) sprawie pokoju.

Ze spraw aktualnych oczywiście nie uszła uwaga kongresu sprawa Maroka, w której oportunistyczny wniosek kongresu monachijskiego, aby Francja ograniczyła akcję do „uspokojenia i zabezpieczenia życia i mienia Europejczyków”, spotkał się z silną odprawą, wyjaśniono bowiem, że pozbawienie życia kilkudziesięciu Europejczyków przez bandytów marokańskich nie upoważnia Francji do posłania do Maroka dziesiątków tysięcy bandytów, masakrujących ludność, oraz że Europejczycy mogą łatwo opuścić kraj obcy, skoro się w nim niewygodnie czują.

Odnosnie do praw mniejszości narodowych w państwach uchwalono jednogłośnie, że poszanowanie każdej



Grupa uczestników Zjazdu powszechnego pokoju w Londynie.

narodowości jest jednym z podstawowych warunków pokoju i że zasada ta zarówno w wewnętrznym prawodawstwie państw, jak w stosunkach międzynarodowych, zachowaną być winna. Kongres wymaga, aby w państwach, złożonych z różnych narodowości, języki mniejszości narodowych miały zastosowanie jak najszerze w administracji, sądzie, szkołach, w życiu publicznym i prywatnym i aby przywileje języka urzędowego ograniczone były jedynie do spraw państwowych i nie na podstawie życzenia lub rzekomego interesu narodowości panującej. Propagowanie zasady tej uważa kongres za obowiązek narodowych stowarzyszeń pokoju.

Zgromadzenia publiczne, przyjęcia, oraz zwłaszcza audyencya u króla Edwarda, stanowiły niezmiernie ważną cechę kongresu i nadały mu charakter bardziej aktualny, niż kiedykolwiek miało to miejsce. Król i królowa przyjęli deputację kongresu w d. 26 lipca w pałacu Buckingham. Uczestniczyło w niej 25 członków, a mianowicie zarząd kongresu, kilku członków parlamentu oraz 9 przedstawicieli różnych krajów, w tej liczbie i naszego Towarzystwa. Odpowiedź króla na przemówienie prezesa kongresu, lorda Courteney'a, była bardzo kategoryczna: Edward VII zaznaczył zupełną solidarność z działalnością kongresu i uznał dążenie do sprawiedliwości i pokoju za obowiązek wszystkich panujących i mężów stanu.

Solidarność szczerą ze sprawą pokoju zaznaczył rząd angielski jeszcze w całym szeregu manifestacji: na wielkim zebraniu publicznym na Queens Hall, na którym minister skarbu Lloyd George wobec kilku tysięcy zebranych miał wykład obszerny o bezmyślności zatargów wojennych i budżetów wojny, oraz na wydanym przez rząd obiedzie w hotelu Cecil, gdy podczas obiadu prezes ministrów Asquit wyłożył pogląd swój na sprawę, uważając pokój jako główny postulat polityków przyszłości i podkreślając konieczność jak najenergiczniejszej pracy w kierunku porozumienia ludów.

Prace kongresu zyskały również uznanie grup społecznych, co stwierdzone zostało zarówno wielką ilością adresów, nadesłanych do zarządu, jak publicznym uznaniem przez deputację duchowieństwa, złożoną z trzech biskupów, przez wielki miting robotniczy na skwerze trafałgarskim, oraz demonstrację delegacji młodzieży wobec kilku tysięcy publiczności, zebranej w Queens Hall.

Polskie Stowarzyszenie przyjaciół pokoju reprezentowało ośmiu członków Stowarzyszenia (Polak, przewodniczący, Wł. M. Kozłowski, M. Ciemniowski, St. Kochanowicz, Waydel, Rappaport, Fitkał i Wittemberg).

Gościnność gospodarzy kongresu była wielka.

Oprócz wymienionych zebrań i obiadu, przez rząd wydanego, do uprzyjemnień należało: przyjęcie przez prezesa w hotelu Metropole, przyjęcie u pp. Moscheles, wycieczka do Windsoru i Garden Party na wystawie w Earls' Court.

Zjazdy tego rodzaju mają niewątpliwie duże znaczenie, zwłaszcza w czasach tak przełomowych, jak dni dzisiejsze. I choć prawdopodobnie nie dadzą narazie praktycznych rezultatów, rzucą jednak w umysł i serca ludzkie ziarna na plony jutrzejsze. Idea Chrystusowej miłości musi kiedyś zapanować nad światem i zagłuszyć huk armat i wrzask nienawiści.

J. P.

Ks. Stanisław Załęski.

Dotkliwą stratę poniósł zakon O.O. Towarzystwa Jezusowego, składając do grobu w Nowym Sączu zwłoki ś. p. O. Stanisława Załęskiego, głośnego autora pomnikowego dzieła: „Jezuici w Polsce”.

Urodzony w Krakowie d. 11 września 1843 r., O. Stanisław Załęski wczesnie stracił ojca Karola, po którego śmierci wychowaniem młodego jeszcze podówczas chłopca zajęła się matka, Teofila z Rudkowskich Pruss Załęska, bardzo rozumna, głęboko religijna i z wyższym polotem umysłu niewiasta. Wśród ubogiej w zasoby materialne, lecz bogatej w cnoty ducha atmosfery wzrastał młody Stanisław, dzieląc czas swój pomiędzy dom, szkołę i kościół. Usługiwaniu do mszy św. zbliżyło go do O.O. Jezuitor i zadecydowało o przyszłości, bo, choć matka długi czas odmawiała synowi zezwolenia na wstąpienie do zakonu, półroczne jednak bez-

stanne próby zwyciężyły wreszcie, i oto w dniu 18 sierpnia 1857 r. młodzieniec poszedł za głosem własnego powołania.

Gdy nadszedł r. 1863, kleryka Stanisława ogarnęło nieznanne mu dotąd uczucie miłości ojczyzny. Słuby zakonne, które złożył 15 września 1860 r., nie do-



Ks. Stanisław Załęski.

zwalały mu pójść i bić się w szeregach powstańczych, rzucił się jednak do studyowania dziejów polskich i wzbudził w sobie wielkie zamiłowanie do literatury historycznej, które nie opuściło go aż do śmierci. W r. 1864 przelazł do konwiktu w Tarnopolu na wykłady historii literatury polskiej. Podczas przygotowywania się na wykłady tarnopolskie zmuszony był czytać różnych autorów, często bardzo ujemnie wyrażających się o zakonie, do którego należał. Nie mogąc pogodzić w sumieniu zarzutów ze swym szczerem stanowiskiem, badał też pilnie w rozmaitych dziełach rozwiązanie prawdy i wypytywał starych białoruskich Jezuitor o przeszłość swego zakonu. Owocem tych studyów było dzieło: „Czy Jezuici zgubili Polskę?”, nad którym pracował kilka lat, podając je do druku w r. 1871 *Przeglądowi Lwowskiemu*. Dzieło młodego Jezuita nabrało wielkiego rozgłosu, rozkupiono je w ciągu kilku miesięcy, tak że niebawem drugie (1874) i trzecie (1883) jego wydanie okazało się potrzebnym. Książka ta w znacznej części usunęła uprzedzenia przeciw Jezuitom, zwłaszcza u kleru świeckiego i inteligencji.

Lata od 1871 do 1874 stanowią najpiękniejszą erę w jego życiu. Młody, przyjemny, wymowny, prawil kania, słuchał spowiedzi, a równocześnie pracował w *Przeglądzie Lwowskim*, jako recenzent dzieł no-

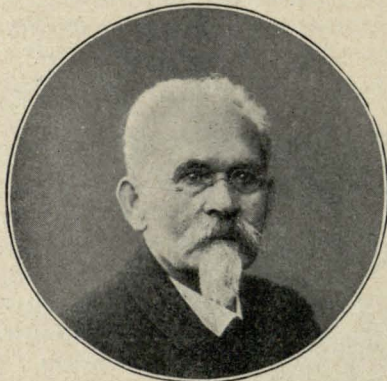
wych i pisał dwutomowe studium „Zniesienie zakonu Jezuitów i ich zachowanie ua Białej Rusi”. Wówczas też powstała w nim myśl napisania dzieła „Jezuici w Polsce”, któreby było historią zarazem i apologią działania zakonu na ziemiach polskich. Dla różnych względów był zmuszony studia nad tem dziełem odbywać wolniej: z górą 30 lat zbierał do niego potrzebne materiały, zanim w r. 1906 wydał piąty i ostatni jego tom. Żmudna i ciężka była to praca. Trzeba było odbyć cały szereg wypraw do archiwów miast Francji, Austrii, Niemiec, Holandji, Belgii, Włoch, nie mówiąc już o naszych polskich, łatwiej przystępnych. To też wartość naukowa jego pracy jest bardzo znaczna, czego dowodem publiczne uznanie krakowskiej Akademii Umiejętności, oddane dziełu „Jezuici w Polsce”, i jednoznaczny głos krytyki o „Masonii w Polsce”.

W powyższym czasie również ks. Stanisław Załęski zasiłał nadto swym piórem *Encyklopedyę Kościelną*, *Wiadomości Kościelne*, *Czas*, *Gazetę Narodową*, *Przegląd Lwowski*, *Misyje Katolickie* i *Przegląd Powszechny*. Napisał też kilkadziesiąt dzieł i broszur różnej treści.

W osobie ks. Stanisława Załęskiego nauka polska traci jednego z bardzo zasłużonych i utalentowanych jej przedstawicieli, który, ze swojego punktu widzenia, szczerze poruszał sprawy sporne do dzisiaj, wymagające bezstronnej oświetlenia.

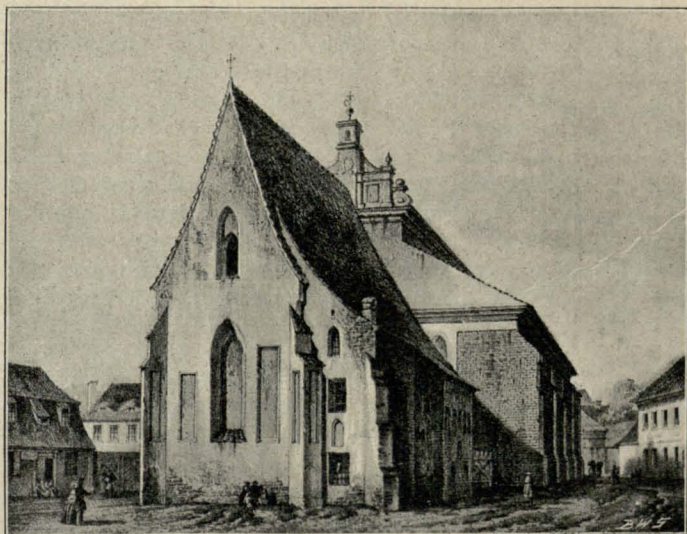
Roman Szymański.

Dnia 5 b. m. zmarł w Poznaniu jeden z najwybitniejszych publicystów polskich i polityków tamtejszych, ś. p. dr. *Roman Szymański*, redaktor *Orędownika*, a w końcu redaktor naczelny wskrzeszonego



Roman Szymański.

przed dwoma laty *Kuryera Poznańskiego*. Zmarły był przez długie lata głównym organizatorem i kierownikiem ruchu ludowego. Jego nieustraszonej pracy i niepospolitej energii szersze warstwy ludności z zaboru pruskiego zawdzięczają dzisiejsze swe uświadomienie polityczne. Ś. p. Roman Szymański był w gruncie rzeczy politykiem realnym, przeciwstawiając się wszelkim fantastycznym planom i wszelkim akcyom, nie przynoszącym konkretnego pożytku. Dogmatem jego, który głosił od początku do końca swej działalności publicznej, było ekonomiczne podniesienie i wzmocnienie społeczeństwa, bo tylko naród silny i niezależny pod względem ekonomicznym skutecznie oprzeć się zdoła wrogowi. Za wierną swą służbę dla sprawy narodowej zmarły cierpiał przeszło dwa lata w więzieniu pruskiem. Po ciężkich cierpieniach zmarł, licząc 68 lat życia. Z nim schodzi do grobu jeden z najdzielniejszych szermierzy spr-



Widok starego kościoła św. Mikołaja w Kaliszu.

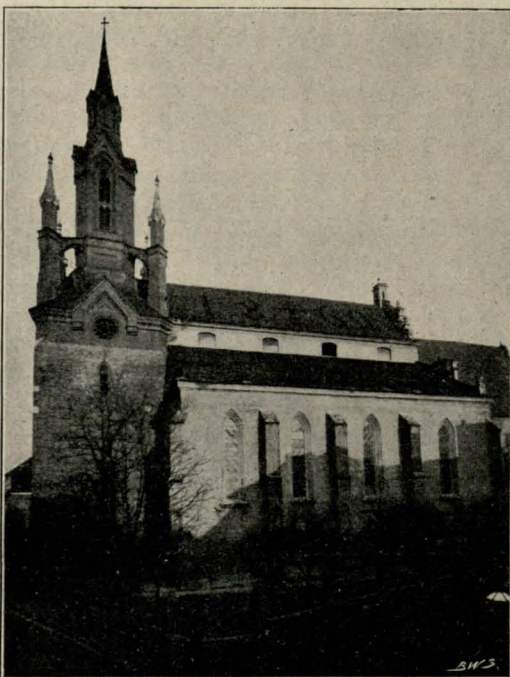
wy polskiej w zaborze pruskim, osobistość, która w przeciągu trzech ubiegłych latdziesiątków wielki wpływ wywierała nie tylko na życie polityczne w tym zaborze, lecz i na ukształtowanie się myśli politycznej w tamtejszym społeczeństwie polskiem. Cześć jego pamięci!

Arcydzieło Rubensa w Kaliszu.

Ciekawe odkrycie dokonane zostało niedawno w kościele św. Mikołaja w Kaliszu. Jest to prastara świątynia, zbudowana jeszcze za czasów księcia Leszka Białego około r. 1220.

Wspaniały musiał być ongi gmach kościelny, skoro i teraz, aczkolwiek ogołocony z ozdób skutkiem pożaru w roku 1706, wciąż jednak przejmuje.

W wielkim ołtarzu tej właśnie świątyni znajduje się prześlizgnięty obraz szkoły flamandzkiej: „Zdjęcie z krzy-

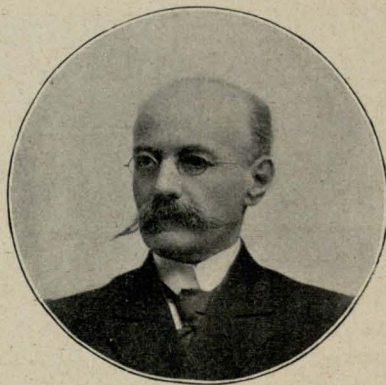


Kościół św. Mikołaja w Kaliszu.

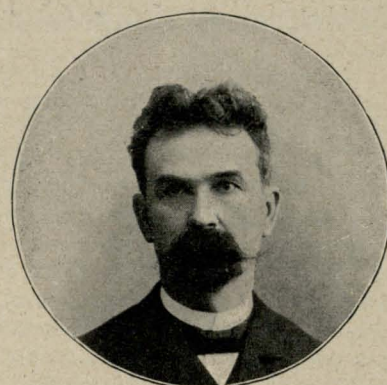
ża”, który, jak głoszą kroniki kościelne, przywieziony został z Antwerpii do Kalisza w XVII wieku. Nabywcą i ofiarodawcą jego był administrator mennicy w Bydgoszczy (Bromberg w Prusach), starosta bydgoski i rachmistrz koronny, Piotr z Żeronia Żeroński.

Kroniki kościelne przypisywały ten obraz Rubensowi, nie była to jednak rzecz pewna, gdyż na obrazie niema żadnych śladów co do tego, kto był jego twórcą. To też obecny proboszcz, ks. kanonik Sobczyński, zajął się sprawą ustalenia autentyczności obrazu i w tym celu zwrócił się do specjalnego znawcy dzieł Rubensa, profesora historii sztuki w uniwersytecie Jagiellońskim, hr. Mycielskiego. Przystąpiono do szczegółowych oględzin domniemanego arcydzieła. Obraz okazał się kilkakrotnie poprawiany, prztem ręką nieudolną. Znajduje się w nim pięć dziur, a cały podbity jest z drugiej strony blachą.

Po zmyciu obrazu prof. Mycielski wyraził przekonanie, iż obraz jest bezwarunkowo autentycznym dziełem Rubensa. Po powrocie do Krakowa hr. Mycielski zdawał szczegółowe sprawozdanie



Teodor Dydyński, prof. prawa rzymskiego.



Dr Edward Przewoski, prof. anatomii patologicznej, dziekan fakultetu medycznego.

Dwaj ostatni profesorowie Polacy w uniwersytecie warszawskim podali się niedawno do dymisji wobec specjalnych warunków, jakie zapanowały w nowo utworzonej po długim zastojach uczelni. Profesor Teodor Dydyński, wytrawny znawca prawa rzymskiego, wykładał je jeszcze w b. Szkole Głównej, zawsze otaczany sympatją młodzieży polskiej, która widziała w nim jedyne go weterana-profesora z tych czasów, kiedy nauka polska wysoko zatknęła swój sztandar na gmachu pamiętnej w dziejach naszych uczelni. Prof. dr Edward Przewoski, ostatnimi czasy dziekan fakultetu medycznego, należał do młodszej generacji profesorów, lecz sam już fakt, że, jako Polak, został powołany na katedrę, doskonale świadczy o wielkich jego zasługach, położonych na polu nauki, które nawet w najcięższych czasach utorały mu drogę do uniwersytetu.

ze swej podróży do Kalisza i dowodów autentyczności obrazu na specjalnym posiedzeniu Krakowskiej Akademii Umiejętności.

Referat hr. Mycielskiego zainteresował nadzwyczaj obecnych członków Akademii, poczem Wydział postanowił ogłosić wyniki w pamiętniku Akademii i podać dokładny wizerunek obrazu. Następnie na plenarnym zebraniu Towarzystwa opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury w Krakowie hr. Mycielski powtórzył swój referat, poczem ogólne zebranie, chcąc przyczynić się do zachowania tak cennego zabytku sztuki, postanowiło wyasygnować na odnowienie obrazu z własnych funduszy 100 rubli i zaopiekować się, aby arcydzieło Rubensa nie uległo takim uszkodzeniom, jak przed 40 laty, gdy odnowienia podjął się nieudolny artysta, nauczyciel rysunków w gimnazjum kaliskim.

Ostatecznie więc ustalono, że obraz, znajdujący się w kościele św. Mikołaja w Kaliszu, jest autentycznym dziełem Rubensa i do tego wspaniałem, z lat 1618—1620, najbliższym słynnemu dziełu mistrza „Le Christe à la paille”, znajdującemu się po dziś dzień w Muzeum w Antwerpii.

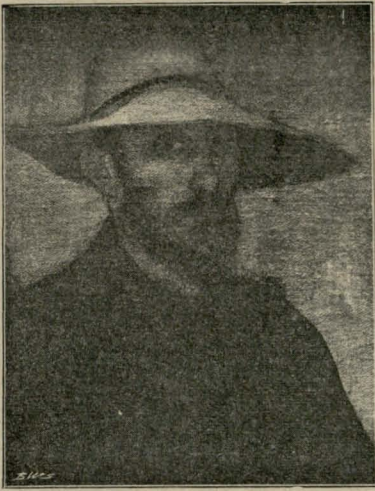
Ciekawe wykopalisko.

W ubiegłym tygodniu przy robotach na gruntach b. mennicy, gdzie obecnie wznoszony jest gmach warszawskiego oddziału Banku Państwa, kopacze natrafili na bardzo ciekawe i godne zwrócenia uwagi specjalistów wykopalisko. Przy rozkopywaniu fundamentów dawne-



Tygle szyfrowe, wykopane w starej mennicy na ulicy Bieleńskiej.

go kurytarza robotnicy wydobyli z ziemi 3 przedmioty, które, jak się okazało przy bliższym zbadaniu, były z szyfru wykonanymi tyglami, służącymi swego czasu do robót mennicznych. Znajdowały się one na głębokości 2 sążni, a w skutek długiego leżenia w ziemi uległy pewnym uszkodzeniom. Ciekawem tem wykopaliskiem zaopiekował się prezes komisji Towarzystwa opieki nad zabytkami przeszłości starej Warszawy, mecenas Aleksander Kraushar.



Władysław Ślewiński z Paryża, nowy profesor warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych.

NASZE RYCINY.

J. F. Rafaelli. „Val Fleuri”. Rafaelli jest, jak wiadomo, wynalazcą farb olejnych, które wyglądają, jak ołówki, i których też można używać, jak pastel. Technika tych farb inna jest zupełnie, niż zwykłych farb olejnych. Niemi można od razu rysować, wykonywać prace szybkie, szkicowe, z taką szybkością, jaka przy pędzlach nie jest możliwa, bo farby Rafaellogo schną szybko, nadają się więc znakomicie do wszelkich notatek z natury. Podobną świetną notatką jest właśnie załączony obraz, przedstawiający jedno z miasteczek francuskich. Cóż to za światło, co za życie w tym obrazku! W tych rzeczach Rafaelli jest mistrzem.—*Ludwik Michalek. „Wiercenie tunelu”* i *Artur Kampf. „Walcownia”*, są to obrazy ze świata robotniczego, malowane z niezwykłą siłą charakterystyki. Szczególnie u Michaleka moc rysunku zadziwia. Co za wyteżone ramiona, co za twarze, sku-

pione przy tej trudnej pracy pod ziemią, w wilgoci i gorącu! W obrazie Kampfa znów żar rozpalonego żelaza oddany jest z taką ekspresją, że czujemy go nawet w jednobarwnej reprodukcji.—*A. Wierusz-Kowalski. „Forpocztę”.* Epizod, namalowany ze zwykłym u naszego malarza mistrzostwem. Cichy, piękny krajobraz, wypoczywający, a jednak czujni żołnierze, wszystko to ujęte jest w jedną harmonijną całość, pełną nastroju.—*Fr. Morgan. „Półklosie”.* Pełna wdzięku scena z życia wiejskiego, której cała treść jest czysto obrazkowa, malarska, tłómaczyć jej bliżej nie trzeba.

KRONIKA.

Zmarli.

Vaclav Vlček (Wacław Wilczek), współczesny powieściopisarz czeski, zmarł w dniu 17 b. m. Literatura czeska traci w nim jednego z najbardziej utalentowanych swoich przedstawicieli, którego imię od r. 1871 ściśle związane było z najbujniejszym roz-



Wacław Wilczek.

kwitem piśmiennictwa czeskiego. Vlček zyskał sobie rozgłos bardzo udatnymi romansami, z których np. „Po północy” i „Wawrzynowy wieniec”, osnute na tle historycznym, należały do najpopularniejszych książek swojego czasu. Utalentowany autor romansów pozostawił także ślady swojej twórczości i w dziedzinie współczesnego dramatu czeskiego. Ze śmiercią jego schodzi z areny literackiej jeden ze starszych bojowników czeskiej kultury estetycznej, pozostawiając dobrze zoraną i użyźnioną glebę dla młodej generacji.

Osobiste.

Współredaktor naszego pisma Artur Oppman (Or-Ot) powrócił z wywczasów letnich.

ODPOWIEDZI.

Leona Jastrz.-Szczep. w Stawropolu. „Wiosna” Pani drukować nie możemy z powodu mało wyrobionej formy.

Profesorowi w Radomiu. Artykuł „Dziwne berło” nie będzie drukowany.

Hr. Platerowej. Przegląd Biblioteczny wychodzi kwartalnie. Nr 1 i 2 już wyszedł. Cena prenumeraty rocznie rub. 4, półrocznie rub. 2. Adres redakcyi: ul. Rysia Nr 1.

Aldonie. Niektóre ze szkół handlowych tak się ogłaszają. Ile w tem jest prawdy, nie wiemy. Polecieć monemy: Kursy Handlowe Rączkowskiej lub Siemiradzkiej (Żórawia 6—Marszałkowska 118).

P. Głogowski. Adresów takich nie mamy.

Adam Warde. Nie może być mowy o drukowaniu pańskiego utworu „Grunwald”, najeżonego błędami gramatycznymi i nie zdradzającego najmniejszego uzdolnienia. Szkoda czasu Pańskiego i naszego. Rękopis w koszu.

P. Rudnicki w Łomży. Potrzebnych wiadomości udzieli biuro informacji o przemysle krajowym w Tow. Techników w Warszawie. Adres: ul. Włodzimierska.

W. T. Zab. w Brzes. Wiersza „Szumcie, sosny” drukować nie będziemy.

Lewita z Opatowa. Żałujemy bardzo, że „Zjazdu” drukować *Tygodnik* nie będzie, z powodu pewnych braków formy.

Konstanty Wieża, Szczęsny, Profesor. Utwory Panów nie nadają się do druku.

Afra. Wierszy drukować nie możemy; forma jeszcze szwankuje mimo pewnego zacięcia poetyckiego.

P. Kazim. Monycińskiemu. Erotyków Pańskich nie będziemy drukowali, rękopis, niestety, w koszu.

Ciekawy penumerator. Przebywa w Szwajcaryi. Adres w Warszawie: Marszałkowska 27.

„1863”. Utwór pod tym tytułem nie zdradza talentu literackiego autora. Rękopis zniszczony.

P. J. Rudn. Wiersza Pańskiego do J. K. nie wydrukujemy.

P. A. Grab. Nowelek Pani, o jednostajnym nastroju elegijno-cmentarnym, nie wydrukujemy: brak im piętna wyższego artyzmu. Najlepsze może „Zaduszki”.

Jan Strauss. „Skargi” nie wydrukujemy.

Jabłoń. Pisać należy—Abazzia, wymawiać—Abacya.



NEKROLOGIA.

Ś. † P.

Kazimiera z Russockich Skierska

po długiej i ciężkiej chorobie zasnęła w Bogu d. 22 sierpnia r. b. w Białopolu gub. charkowskiej, przeżywszy lat 80, o czym nieutulone w żalu dzieci i wnuki zawiadamiają życzliwych i znajomych.

N A D E S Ł A N E.

PASKI DAMSKIE gumowe, gurtowe, skórkowe i szycho-wo-gumowe
oraz **TOREBKI DAMSKIE**

w wielkim wyborze poleca

STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach, spirytusowe lampy, palniki, kuchenki, żelazka i t. p.
B-CIA WIŚNIEWSKY I S-ka
Foksal 18, Telefon 3069.

LUDWIK SZUFA KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

LEKARZ DENTYSTA A. ZAWADZKI
ZIELNA 7 róg Złotej, daw. Marszałkow. 108
Telefon 184.47. Przyj. od 10—2 i od 3—5i pół.

C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN
I KAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSAWA-PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t. p.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

NARZĘDZIA LEKARSKIE,
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,
WYROBY NOŻOWNICZE

Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.
Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).
Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

MEBLE

ZALEŃSKI i S-ka

Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1-sze i 2-gie piętro.

Rok założenia 1870. Telefon 16.39.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą

w prenumeracie pism
krajowych i zagranicznych
po cenach redakcyjnych.

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Pastę „Bon ton,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwi, Pomadki, Proszki i Płyn „Fenomen” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

Już wyszedł z druku obszerny ilustrowany

Katalog Mleczarski obejmujący wszystkie maszyny, naczynia i przyrządy mleczarskie, i dla sztucznego wychowu drobiu. Katalog opracowany jest na podstawie najnowszych zdobyczy naukowych w dziedzinie techniki mleczarskiej i zawiera opisy i rysunki (160 rysunków) maszyn i naczyń mleczarskich, niezbędnych w każdym nowoczesnym gospodarstwie nabiałowym.

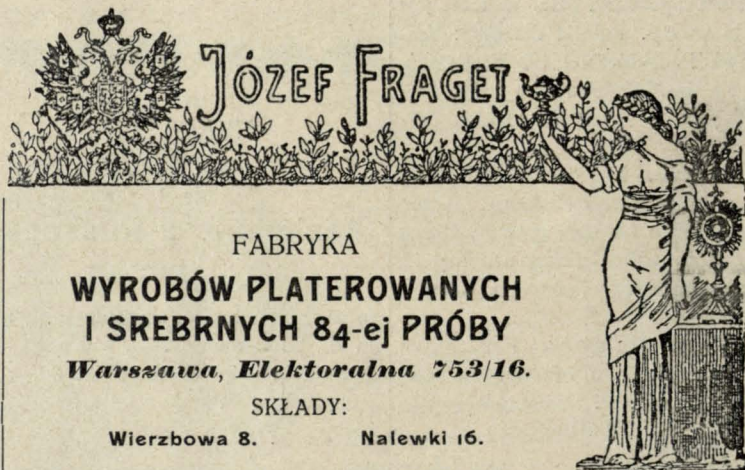
Przed kupnem jakiegokolwiek maszyny, naczynia lub przyrządu mleczarskiego, w swoim własnym interesie żądajcie przysłania tego katalogu.

WYSYŁA DARMO I FRANCO DOM HANDLOWY POD FIRMA

ALFRED GRODZKI

WARSZAWA, SENATORSKA 33.

Kompletne instalacje mleczarni ręcznych i parowych.



JÓZEF FRAGET

FABRYKA
WYROBÓW PLATEROWANYCH
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY
Warszawa, Elektoralna 753/16.

SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

SZKOŁA KAROLA SCHULZA

w Warszawie, ul. Św. Barbary 10.

Z INTERNATEM
Przyjmuje chłopców analfabetów i z początkami, i przyspasabia ich do wszystkich średnich zakładów naukowych. Szkoła kładzie główny nacisk na pogładowość w nauczaniu. Przy szkole znajduje się bogate muzeum szkolne, zawierające przeszło 10,000 okazów do pogładowego nauczania, które zwiedzać mogą wszyscy, interesujący się wychowaniem młodzieży.

ZAKŁAD FREBLOWSKI przyjmuje chłopców i dziewczynki od 3—7 lat.

Zapisy przyjmuje się codziennie od godz. 9 do 6.

Lekcje rozpoczną się 2-go września.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Chłodna Nr 18, Niecała Nr 9, Dzika Nr 7, Leszno Nr 4, Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2 a, Praga Brukowa Nr 32, Długa Nr 19.
Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Nagrodzone złotymi medalami, a zalecane przez pp. doktorów i lekarzy-dentystów: eliksir, pasta i proszek

„TYMENTOL”

jako najlepsze środki do czyszczenia i konserwowania zębów, oraz odświeżania jamy ustnej. Poleca Centralne Laboratorium Chemiczne w Warszawie.
Sprzedaż w składach aptecznych.

HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT
Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

KIERUNEK PRAKTYCZNY.

Pod zawiadywaniem Ministerium Handlu i Przemysłu

KURSA HANDLOWE S. Rogulskiego w Warszawie.

- I. Przygotowawcze.
- II. Specjalne roczne żeńskie.
- III. Specjalne półroczne męskie i żeńskie.
- IV. Dla buchalterów.

Programy bezpłatnie w kancelaryi Kursów Marszałkowska nr. 136, oraz w księgarniach: M. Arcta Nowy-Świat 53 i G. Centnerszvera i S-ki Marszałkowska 143.

PIERWSZORZĘDNE SIŁY WYKŁADOWE.

FORTEPIANY,
PIANINA, PIANOLE,
ORGANY,
MELODYKONY



GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17

NAJLEPSZA KAWA
SKONCENTROWANA



EXTRAIT de MOCCA
Eugeniusz Widigier i S-ka
WARSZAWA,
Al. Jerozolimska 25, tel. 35-33.

Lecznica D-ra Tarnawskiego w Kosowie (St. kolej Zabłotów) w Galicyi w połud.-wschodnich Karpatach, otwarta od 1 maja do końca października. Leczenie wodą, dietą (także jarska i owocowa), kąpielami słonecz., gimnastyką i przysposabianie do życia higienicznego

LECZNICA DLA DZIECI
D-ra Juliana Gawrońskiego
Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11 rano. Porada 50 kop.

Nowe maszyny
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI
„APOLLO”
nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieodzowne w każdym gospodarstwie.
PASY SKÓRZANE
oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca
ALFRED GRODZKI
Warszawa, 33, Senatorska.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn Krakowskie Przedmieście **№ 15** dom Hrabiego J. Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa